

MARIA
KONOPNICKA

WYBÓR
POEZJI



Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna

PRACOWNIA BADAŃ I DORADZTWA

- Konferencje naukowe
- Monografia „Sycyna – wiek XX”
- Program doradczy
Agroalternatywa Mazowsze 2000
- Seminarium doktoranckie

WSZECHNICA OŚWIATOWA

- Pracownia informatyczna
- Grant Mazowieckiego Kuratora
Oświaty: Technologie informacyjne
- Kurs: Kształcenie zintegrowane
- Liderzy aktywizacji zawodowej
- Wykłady, seminaria,
- Kursy zawodowe i komputerowe

WIEJSKI OŚRODEK WSPIERANIA AKTYWNOŚCI SPOŁECZNEJ

- Fundusz stypendialny
- Pomoc dla szkół
- Grant Wojewody Mazowieckiego
- Działalność kulturalna – Dni Sycyny:
festyn, bieg przełajowy, koncerty
- Doradztwo zawodowe
- Program „Wirtualna Sycyna”

WSPÓŁPRACA MIĘDZYNARODOWA

- Niemiecki Związek
Uniwersytetów Ludowych DVV
- Akcja Poczucie Obywatelskie
„Aktion Gemeinsinn eV” Bonn
- Projekty Leonardo da Vinci

PRACOWNIA DOKUMENTACJI

WYDAWNICTWA:

- Biblioteka Sycyńska:
„Sycyna – wiek XX”
J. Kochanowski – „Wybór poezji”
M. Konopnicka – „Wybór poezji”
A. Dygasiński – „Co się dzieje
w gniazdach i inne opowiadania”
„Słyszysz Ona żyje...” – Impresje
poetycko-malarskie J. Malczewskiego
- „Wieści Sycyny”
- Strony internetowe

Misją naszego Stowarzyszenia wiejskiego jest integracja, samoorganizacja i aktywizacja lokalnych społeczności poprzez animację oświatową i kulturalną w celu wyrównania szans społecznych i edukacyjnych młodzieży i dorosłych. Kultuwując legendę i upowszechniając twórczość Jana Kochanowskiego oraz historię Sycyny, Stowarzyszenie wspiera współpracę międzyregionalną i międzynarodową.

Maria Konopnicka
Wybór
poezji

Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna

Biblioteka Sycyńska
tom III

Maria Konopnicka
Wybór poezji

Redakcja: **Marcin Olifirowicz, Krzysztof Śmietanka**

Copyright by: Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2001

ISBN 83-914918-0-3

Współpraca wydawnicza: Instytut Technologii Eksploatacji

Projekt okładki: Janusz Popławski, Jacek Pacholec

Opracowanie wydawnicze: Aldona Jaskulska, Radosław Kocun,
Marcin Olifirowicz

Wydawca: Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, Sycyna 125, 26-700 Zwoleń,
tel. 048-676-25-43, e-mail: sycyna@ppp.pl, <http://www.ppp.pl/sycyna>



Opracowanie wydawnicze, skład, druk i oprawa Instytut Technologii Eksploatacji
26-600 Radom, ul. K. Pułaskiego 6/10, tel. 442-41, fax 447-65
e-mail: instytut@itee.radom.pl <http://www.itee.radom.pl>

PRZEDMOWA

Przełom wieków i tysiącleci, w którym przyszło nam żyć, nowe wyzwania technologiczne i społeczne, wreszcie globalizacja, ze światem bez granic, dostępnym w zasięgu ręki, skłaniają nas do pytań o nasze miejsce w tym czasie i przestrzeni, które wyznaczył nam los. Możemy to uczynić, uświadomiwszy sobie najpierw swoje korzenie, bez czego planowanie, a tym bardziej budowanie teraźniejszości i przyszłości wydaje się niemożliwe.

Może w tym pomóc lektura twórczości Marii Konopnickiej, poetki coraz bardziej, a niesłusznie zapomnianej, kojarzącej się częściej młodszymi pokoleniami z nazwą szkół czy ulic, a nie z dorobkiem, którym można by z dumą obdzielić kilka biografii twórczych.

Kolejny tom Biblioteki Sycyńskiej poświęcamy właśnie twórczości Marii Konopnickiej (1842–1910) – pozytywistki, żarliwej patriotki, a nade wszystko strażniczki i piekczyni ziemi ojczystej, która wymownie wyzna w jednym z utworów, określając cały charakter swej twórczości:

*Z bliska widziałam łzy wasze i troski,
Z bliska waszego serca czułam bicie;
Z bliska znam nędze i miasta, i wioski
I rany wasze, i życie.*

Konopnicka, z ducha i przekonania wolna i niezależna, urodziła się w kraju zniewolonym i w takim, podobnie jak innym epigonom jej epoki, Sienkiewiczowi, Prusowi czy Orzeszkowej, przyszło jej umrzeć, nie doczekawszy upragnionej i zapowiadanej niepodległości.

Dla tysięcy czytelników jej twórczości i kolejnych pokoleń Polaków aż do naszych czasów brzmi nie tylko jak hymn (którym nieoficjalnie była), ale jak bezwzględny i stanowczy nakaz – *Rota* – z wypowiedzianym jak okrzyk bojowy *nie rzucim ziemi skąd nasz ród*.

Do współczesnych poetce, ale i do nas, ludzi początku XXI wieku, wydaje się być kierowane szczerze liryczne pytanie:

*Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skrós srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?*

Jakby na życzenie poetki, w pewnym sensie jako odpowiedź na postawione pytanie odradza się świadomość regionalna i patriotyczna. Powstają towarzystwa i stowarzyszenia, które z ogromną energią i pozytywistycznym zapałem współorganizują środowiska lokalne, tworzą szanse i możliwości kształcenia i dokształcania młodzieży i dorosłych.

Takie idee realizuje Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, powstałe w „gniazdzie ojczystym” Jana Kochanowskiego. Stowarzyszenie poprzez organizację konferencji, kursów i studiów podyplomowych, spełnia funkcję wydaje się najistotniejszą – nie jest kolejną instytucją zewnętrzną, lecz funkcjonuje wśród mieszkańców Sycyny i okolic. Tu w ich „małej ojczyźnie”, najbliższym świecie, w którym żyją na co dzień, wśród krajobrazu i tego, co obecne: przyrody, wśród tu żyjących ludzi i stworzonej przez nich kultury i pracy.

Odpowiedź, której udzieliła poetka na postawione w cytowanym utworze pytanie, mogłaby być mottem dzisiejszego tomu, ale też przewodnią myślą inicjatyw przywracających wartość i znaczenie „małej ojczyzny”:

*Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...*

Ale utwory, które zawarliśmy w tym wyborze chcemy poświęcić nie tylko dorosłym, ale też dzieciom. One właśnie znalazły w sercu poetki – matki sześciorga dzieci – miejsce szczególne.

Polecając Czytelnikom niniejszy tom pragniemy dedykować go wszystkim, którzy na niwie kulturalno-oświatowej, wbrew pesymizmowi czasów, słuchają dobrych rad i wdrażają mądre i śmiałe idee.

*Marcin Olifirowicz
Krzysztof Śmietanka*

WIERSZE

PIEŚŃ O DOMU

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skróś srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym sosnom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swym ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

PRZYGRYWKA

Wkoło mnie otoczyły moje równie senne
Pasmem jednakiem...
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne –
Umiem być ptakiem!
Błękitna przestrzeń mruga, zaprasza do siebie,
Skrzydeł nie nuży...
Pędzimy sobie we trójkę: ja, obłok na niebie
I listek róży.
Listek najpierwszy upadł na wioskowym kopcu
Cudzej granicy,
Jak rzucone słóweczko drogiego mi chłopcu
Mdłej obietnicy...
A obłok powiał dalej... Pod słońko się stroi
W biel i we złoto,
Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,
Zadrżał tęsknotą...
Wiatr szarpnął go za szatę, rozrzucił mu włosy;
Toż łzami leci
Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziadzius bosi
I kupka dzieci...
Nie chce odlecieć dalej! Z tej mgły urodzony,
Z oparów rzeki:
Gdzież mur zwiedzać świat obcy, inne jakieś strony
I kraj daleki?
Więc sama lecę... sama, choć serce mnie boli
I smutno wróży...
Czemuż nie chciał obłoczek podzielić mej doli
Ni listek róży?
Z obłoczka ja bym sobie wieczorem pod głowę
Zwiła posłanie;
A z listka za się róży – toć czary gotowe
Na zakochanie.
Lecz sina dal pociąga i wabi, i nęci,
Jak cud nieznan...
Ej! ujrzę raz na oczy insze sianożęci,
Insze kurchany!
Ej! posłyszę ja przecież, jak to ludzie gwarzą
Obcym mi gwarem...
I wypatrzę miesiącek, z jaką wstaje twarzą
Nad cudzym jarem...
I dowiem się raz wreszcie, gdzie tęcza podziewa
Wstążek swych końce,

I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa
Echo mdlejące.
U nas w wiosce znam wszystko... wszystkim już syta,
Aż do znudzenia...
Co dzień zza tego wzgórza słońce rankiem świta,
Nic się nie zmienia.
Wiem, gdzie rosą dziewianny, a gdzie niezabudki
W przydrożnym rowie;
Wiem, gdzie szary słowiczek zwił domek malutki
W naszej dąbrowie;
Wiem, gdzie ojciec łąn orze, gdzie matka wybiela
Cieniutkie płótna;
Wiem, jak w święto wieczorem grzmi wiejska kapela,
Jak fletnia smutna...
Lasek, cmentarz, kościółek, starego plebana
Znam już z pamięci...
Tęskno mi! – Hej, pociąga dal sina, nieznana,
Wabi i nęci!

JASKÓŁKA

Zza morza powraca!... Ach, leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż, ty bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach, śpiesz się, dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą;
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato, całując twe czołko,
Smagłością nie przyćmi urody.
Hej, chłopcze tęskniący, śledź bystrym spojrzeniem,
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,
Tam w późne dosiewki ślij swata z pierścieniem,
A w zapust wyprawiaj wesele!
Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem;
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzonym
Nawijaj, nawijaj u kółka.
A kiedy jesienią zaświecisz luczyno
I siedziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
I równa, i mocna, i cienka.
Dziadziusiu, babusiu, siadajcie u proga
Pod przyzbą, na ławie dębowej;
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
Jaskółka ten roczek, ten nowy!
Ach, leci!... ach, leci! Powraca z za morza
Do naszej wioskowej zagrody
I czarnym skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki, i pola, i wody.

– „Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słyhać nowego? Czy zdrowi? Czy cali?
Czyż żyją staruszki, jak jabłoń, zsiwiali?
A Kasie, Maciusie czy rosną?
Ach! cóż to?... te same ja widzę kłopoty
I bieda, jak była przed laty!
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
I dach się zapada garbaty!

Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą.
Na twarzach znękanie i niechęć, i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wznoszą, jak płonące kłoski,
Na dzikim ugorze zbujają, wśród wioski
Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morza z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca;
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
I wichry lodowe czatują z zawieją,
Tu zima i zima bez końca!
Och! Gdybym ja mogła rozegrać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząśłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I lud by się zbudził – narodem!”

– „O, spojrz! o, spojrz! to pierwsza jaskółka
Pod gzymsem skrzydełka trzepece...
I w okna zagłada i zwija się w kółka
I o coś się pyta, szczebioce...
Toż wiosna już, wiosna!... Za tydzień, za drugi
Mieć będę z fijołków bukiety...
Czy w polu już sieją?... czy orzą już pługi?”
– „Najdroższa, czytamy gazety”.

– „O panie! O pani! słoneczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie...
Czyż żaden promyczek na główki, na płowe
Wioskowych pacholąt nie padnie?
Czyż mi tak co wiosna trzepotać na próżno
U okien skrzydłami czarnymi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę próżną
Powitać wieściami drobnymi?
I kiedyż gniazdeczko piskletom uwinę
Pod strzechą szczęśliwą wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chryzmem, na życie naznaczą?” –

– „Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą
Myśl moja ucieka z jaskółką
I leci nad wioskę odartą i nagą!
Mój drogi! Zajmijmy się szkółką!

Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,
Wszak kraj do ich czynów ma prawa...”

– „Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!” –

– „O panie! o pani! za morzem, za sinem,
Plon myśli runieje, dojrzewa...
I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,
I wzorem, nie radą zagrzewa.
Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy,
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!”

– „Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?
Dlaczego przed dzieckiem, panią, paniczem
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, Piast wiejski, z dostojnym obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu,
O myśl tę zmaconą, niejasną?
Czyż nie tym, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną?
Posłuchaj mnie, drogi! Czyż tyle już trudu,
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
Łakującym zdrowego dać chleba?” –
– „Co?... Może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
Z pocziwym Kiszotem w zawody?

I brudnych pastuszków zmieniawszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek, jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opląca,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu... jak, po co i na co?...
Daj pokój!... Czytajmy gazety” –

– O słońko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
Rozbudzić się ze snu nie może...
O, więcej daj światła i więcej daj ciepła
I rosy ożywczej, o Boże!

FRAGMENT (SKARŻYCIE SIĘ NA WIEK...)

Skarżycie się na wiek, co ideały

Odziera z szat i waży je, i mierzy...

Skarżycie się, że duch poezji biały

W śmiertelnym śnie z strzaskaną lutnią leży...

Skarżycie się, że nie ma śpiewać komu,

Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety,

Że wśród burz i krwawych walk ogromu

Bez echa drży znikoma pieśń poety...

– Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą

Przykuwa słuch lecących w bój szermierzy,

Ołtarzem jest, świętością i przysięgą,

Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?

Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,

Jak biały bóg, co nocy cień zwycięża?...

Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy jak korona

Słonecznych zórz na jasnym czole męża?...

Lecz gdzież jest pieśń, co jako młot olbrzyma

Z surowych skał wykuwa dzieło ducha?...

Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,

Pada jak grom, a jako pożar bucha?

Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swym wybiega

Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?

Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażęga

I hasłem jest, pod którym wrą miliony?

Lecz gdzież jest pieśń, co w przyszłość wkracza śmiało

I ziarnem prawd zasiewa niwę dziką?...

Gdzie jest ta pieśń, co duszę ma i ciało

I wielkich słów ludzkości jest muzyką?...

Ach, taką pieśń, lirnicy małowierni,

Zanućcie tu, w powszednim ziemi gwarze,

Gdzie stoi tłum ostygłej, martwej czerni

I garstka tych, co strzegą jej ołtarze...

Niech taka pieśń, jak orzeł, w górę wzleci,

Aż trupy drgną. Zaprawdę, mówię wam,

Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci,

Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam.

TEŚKNOTA

Wpółsenne duchy owiewa
Przecucie świtu,
W mroki wiosenne przywdziewa
Szatę błękitu...
Ucisza gwary i szумы
Skinieniem ręki...
Lirnikom szepcze ich dumy,
Ptaszkom – piosenki...
Poezją w krwi młodej płynie
Z cichym szelestem,
Spłonionej mówi dziewczynie:
„Oto ja jestem”;
Na smutnym licu drży cieniem
Spuszczonych powiek
I w pierś ci puka pragnieniem:
„Zbudź się: tyś człowiek!” –
Wśród tłumu staje milcząca
Niby sierota
I myśl uśpioną potrąca –
Święta tęsknota.

Zwycięską prawdy potęgą
Ducha uderza;
Czoło pochyla nad księgą,
Krzepi szermierza...
Do ideałów ramiona
Wyciąga, drżąca,
I w piersi chwyta, spragniona,
Złote skry słońca.
Nad bladym czołem czcicieli
Chwałą wyblyska...
Unosi z wieków topieli
Ducha zjawiska...
Potężnym pragnień poczęciem
Rodzi olbrzymy
I ust zdmuchuje dotknięciem
Czczych rojeń dymy.
Kogo poślubi, ten szczyty
Orłem przeleci,
Aż ujrzy ciche błękity –
Przystań stuleci –
I już nie zazna pokoju
Cichej godziny,

Wiecznej głębinie.
W mędrca rozbudza pragnienia
 Podniosłe, czyste,
I wraza w ludów sumienia
 Prawdy wieczyste.
Jest tchem idącej ludzkości
 W pracy i w znoju,
Uśmiechem nieskończoności,
 Sztandarem w boju;
I wschodzi w ducha głębinie,
 Cicha i złota,
Aż w blaskach wiedzy wypłynie –
 Gwiazda – tęsknota.

Drży, woła czynu, płonąca,
 Ziemię popycha
Przez noc chaosu – do słońca,
 Walką oddycha.
Pierś jej – to wulkan, jej oczy –
 To zorza krwawa;
Przez śmierć, do życia, grzmiać kroczy,
 Przez gwałt – do prawa.
Dłońmi własnymi rozrywa
 Pąki przyszości
I na dzień biały dobywa
 Kwiaty ludzkości.
Wre, milcząc, i tajemnicze
 Roznieca żary,
A gdy odsłoni oblicze,
 Świat trzeszczy stary.
Jady krzywd zbiera i mierzy,
 I pije, blada...
Aż gdy godzina uderzy,
 Piorunem spada.
Walczy i pragnie, i płonie,
 Duchami miota
I chodzi w ogniów koronie –
 Burza – tęsknota.

W wygaste wpatrzona światy,
 W gwiazdy strącone,
Na piersiach zeszcze ma kwiaty,
 Z dumań zasłonę.
Zliczyła wszystkie mogiły,
 Wszystkie ofiary...
Do walki brakło jej siły,
 Celu i wiary.

Co ziemskie, rzuciła ziemi;
Dziś z sercem zgasłem,
Oczyrna patrzy cichemi
Za wiecznym hasłem.
Groby miłością oplata
Jak gniazdo puchem;
Na świecie, lecz nie ze świata,
Cieniem jest, duchem...
Czar wspomnień, ból rozłączenia
To jej istota...
Życie jak powój ocienia –
Cisza – tęsknota.

Z DNI SMUTKU (FRAGMENT)

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A taką straszną, jak rozdarte rany?...
Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą
Wybuchłe pomsty swych ogniów pożogą?
Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna,
A jak nienawiść – okropna, płomienna?

Krwia swoją ludzkość zalewa ją co dnia,
W głębie jej leci i cnota, i zbrodnia,
I łza, i klątwa, i miłość, i zdrada,
A przecież wszystko gdzieś marnie przepada...
Olbrzymie serca i umysłu siły,
Życie milionów, milionów mogiły
Czas rzuca na dno przez lata, przez wieki,
A brzeg od brzegu tak zawsze daleki!
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel – ustawę pokoju,
Mędrzec – pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz – pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater – sławę, geniusz – swoje trudy,
Życie – swe prawa i swoje zjawiska,
Duch – swą tęsknotę, dzieje – całe ludy,
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska...
A przecież dotąd, pragnieniem ziejająca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca.

Jestże kto, pytam, kto zapładnia ziarna,
Które ta zgroza pochłonęła czarna?
I czyż z nich kiedy złoty plon wystrzeli
I bratnim chlebem ludzkości się obdzielili?

O, śpiesz się, słońce! Zbyt wschodzisz powoli
Nad przepaściami głębokich niewoli!
O! śpiesz się, słońce! Niech dzień nowy wstanie!...
Wszak tylko światło zwycięża otchłanie.

BĄDŹ SILNYM!...

*B*ądź silnym, bracie! Skrzydłami orlemi
Bij chmury, co ci grożą nawałnicą...
Nas dnie tak smutne, tak ciężkie zrodziły,
Że wielkiej ducha potrzeba jest siły,
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą
U jakiejś wczesnej, samotnej mogiły,
Lecz żyć na pełnej łez ziemi.

Bądź silnym! Niech twe młodzięcze ramiona
Podźwigną brzemię, uniesień twych godne...
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy...
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia:
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia!

Bądź silnym! Życie swą wagą przygniata
Tych, co bez stresu, bez woli, bez mocy,
Wśród tłumu zjawisk i sprzeczności świata
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk skrós nocy...

Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!
A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy
Tych, co przed walką cofnąwszy się – giną
I poza duchów wytrwałych dziedziną
Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,
Gdy wschodzi słońce przeczyste.

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,
Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,
Które się w całość połączyć nie mogą...
I brak im może właśnie twego ducha,
By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,
Co glob opaszą i nową pchną drogą.

Bądź silnym, bracie!... Ach, ja bym pierś twoją
Pragnęła zakuć diamentową zbroją
Przed ziemskiej żądy palącym oddechem,
Co cię porywa w pełną wichrów drogę,
Przed zatrutymi zwątpienia strzałami,
Co biją, w ciebie, jako błyskawice...

Lecz jestem sama słabą i nie mogę
Być tarczą twoją, choć stoję przy tobie
Z rozpostartymi, jak siostra, rękami
I patrzę w twoje gasnące źrenice
I na twe usta, co bluźnią uśmiechem
Tajemnej ducha twojego żałobie,
Jak bluźni róża czarnej sierot szacie;
I próżno ciebie chcę obronić łzami
Przed skwarem życia, co pierś twą wysusza,
I próżno, patrząc, jak kona twa dusza,
Wołam: „Bądź silnym, o bracie!...”

Bądź silnym! Ziemia pod stopą się chwieje...
Stać trzeba z męskim wytrwaniem wśród burzy...
Ten, kto nieść będzie pochodnię-nadzieję
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odcisnie z lwią siłą
Na wieku swoim – ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała –
Ten tylko imię „człowieka” wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!

NADZIEJA

Tchnieniem ust twoich przed tobą niesiona,
Wzlatam w błękitny, jak przedce pajęczce
Marzeń, z srebrnego wysnute wrzeczona
W zorze i w tęcze.
Gdy pierś twa błogim spokojem oddycha,
Różaną stopą dotykam się ziemi
I staję wtedy przed drzwiami twojemi,
Prosta i cicha.
I chodzę z tobą po izbach twej chaty,
Po twoich polach i po twoich łąkach,
I budzę róż twych wiosenne szkarłaty,
Drzemiące w pąkach...
Chodzę tak blisko, że tylko nas dzieli
Tych kilka chwilek, co zbiegną do końca,
Zanim się zorza różowa wybieli
W promieniach słońca.
Dobrze mi z tobą – i tobie też ze mną!
Nikt z nas w głębiny tajemne nie patrzy,
Nikt się z nas troską nie dręczy daremną,
Co dzień to bladzy.
Pókiś ty cichy – i ja nie mam siły
Podnieść się wyżej nad wioski twej dymy,
Nad lasów twoich wiekowe olbrzymy,
Nad twe mogiły.
I tylko czasem, gdy serce się zwierza
Z tajnej tęsknicy, w błękitne obszary
Do gwiazd ulatam, jak słowa pacierza,
Pełnego wiary.
Lecz kiedy pierś twa rozszerzy się nagle,
Gdy płomień ducha twój oddech rozpali,
Rozwijam skrzydła z tęczowych opali,
Jak lekkie żagle...
Zrywam się, wzmagam i lecę za światy,
Żarem twych pragnień namiętych niesiona...
Cień mój, daleki od cichej twej chaty,
W mgłach sinych kona...
Im gorętszymi wzywasz mnie przysięgi,
Im dalej goni za mną twa źrenica,
Tym szersze, wyższe przepłomieniam kręgi,
Jak błyskawica.
Gdy konasz z tęsknot i wznosisz ramiona
Do dalekiego rozświtu przyszłości,

Jak tak daleko, jak mglista zasłona
Nieskończoności!
Gdziem cię nie wiodła! Gdziem z tobą nie była,
Ja – twoja słabość, i ja – twoja siła!
Gdzieś się nie rzucał trawiony pragnieniem,
Za moim cieniem!
Przed tobą lecąc, jak mgliste pochodnie
Ogników, świętość oświecam – i zbrodnie,
A imię moje, jak piętno się żarzy
Na każdej twarzy.
W wiecznej pogoni ze szczytów na szczyty
Strącam w przepaści – i wznoszę w błękity –
I nad mogiłą rozciągam ramiona –
Nie pochwycona.

URYWEK

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, rózo, kwitnąć przy drodze,
Która przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną – czy w walce gasną...
Lecz z tobą płakać – człowieku!

CONTRA SPEM SPERO

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
 Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
I obrócony wzrok trzyma na burze
 I nawałnice,
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei
 Przeciw nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
 Choć wie, że rankiem nie wszędzie mu słońce,
Podnosi w niebo obłąkane oczy
 I dłonie drżące
I mroki pije źrenicą zagasłą,
 Wierząc w dnia hasło.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
 Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
 Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorzkimi
 Z ojców swych ziemi.

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
 I na mogiły strząsnął jej popioły.
Idziem, jak idą bezdomne przechodnie,
 Z zwiędłymi czoły,
A stopy nasze zasypuje ślady
 Wicher zagłady...

Wiem, niech mi smętne echo nie powtarza
 Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
 I z krwawej roli...
I ja też lecę jak ptak obłąkany
 I wichrem gnany.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
 I piekieł naszych ogarniona sferą,
Oczyrna szukam dnia blasków i słońca
 Contra spem – spero...
I w mogił głębi czuję życia dreszcze,
 I ufam jeszcze...

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei,
Przeciw nadziei!

Z SZOPKĄ

*P*przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą.
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna,
Nie to co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można!
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszcy
Kiedy w swym życiu, co godnym jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba,
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem,
Lecz wiem, że z dawna uczono batogiem
Odkrywać głowę przed pańskim tym progiem.
Stanęły zbite w gromadkę; nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wyblęska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi...
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Coraz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych, chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni,
A noc słuchała, smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni,
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdzwięki,
I w jakieś ciche westchnienia, i w jęki.
Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugimi
Stał wpośród jasnej okien dworskich luny
Odziany w łachman, z stopami bosymi,
Umilknął nagle jak rwące się struny...
I ponad gwiazdą, klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniosł do góry
I myślał sobie: „Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I nie ma ciepłej sukienki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?...
Czemu to ludzie w przednowek tak bladną
I jakby cienie po drogach się włączą?
A dzieci ze wsi z maleńka już kradną?

A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć rad by wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: <<Bracia, Chrystus się narodził!>>
Czemu?” –
O dziecie! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania...
Och! Oby tylko nie wszedł on sądem
Kłęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och! Oby tylko wiekowi przyszedłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: „Czemu?!”

JAK MOTYL DRŻĄCY...

*J*ak motyl drżący nad lampy płomieniem
Duch mój uderza w skrzydła i ulata,
Gdzie wiekiistość bezsennym spojrzeniem
W ciemnościach czuwa nad nędzami świata...
I przez rozbitych słońc lotną mgławicę,
Co się wskroś nieba rzuca mleczną drogą,
Chciałby przeniknąć bytu tajemnicę,
Jak ci, co wierzyć chcą, ale – nie mogą!
O Panie! przebacz mi! Tyś Bóg, Tyś wielki!
Z błysków masz szatę, a z gromów koronę,
A stopy Twoje na słońcu są wsparte!
Łzy ludzkie cóż są? – Ach! rosy kropelki,
A przecież wszystkie masz je policzone...
Co?... Policzone? – co? – i nie otarte?

PÓJDE JA, PÓJDE...

*P*ójdę ja, pójdę drogą daleką,

Po górach wichrem, po nizinach rzeką,
Po chatach pieśnią, po polach ciszą,
Gdzie się na roli zboża kotyszą.

Pójdę ja, pójdę szumem po boru,

Jasnością we dnie, cieniem z wieczoru;
Po łąkach pójdę przędzą pajęczą,
W pogodę zorzą, po deszczu tęczą...

Pójdę ja, pójdę po miastach onych,

Co stoją w potu kroplach czerwonych,
I jako szare, znajome ptaszę,
Oblecę każde nędzne poddasze...

Po sercach pójdę snami cichemi,

Po myślach gwiazdą, co w dali mruga...
I tak po całej obejdę ziemi,
Jako szeroka i jako długa...

I łyżę pozbię jak gorzką rosę,

I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się to od nich wschód rankiem mieni.

Może mnie dojrzy przyszyły dni słońce,

Nad mogiłami w dali wschodzące;
Może wypije łyżę jasność cicha
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha!

A ŻEBYŚ TY, JASNE SŁONKO...

*Ż*ebyś ty, jasne słońko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy, w płaszczu tkanym
Z purpury!

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu...
Nie roztaje pierś zakrzepła
Narodu...
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słońko tak nam prędko
Ucieka!

Oj, żeby to już nad ludźmi
Smutnemi
Uderzyła jasność ducha
Po ziemi!
Żeby w światło się podniosły
Powieki
I przyszłości dzień już nastał
Na wieki!

A CZEMUŻ WY, CHŁODNE ROSY...

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi?
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strach by było z tego siewu
Żać żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Przyjdzie słońko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyszło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

A KTO CIEBIE, TY WIERZBINO, WYCHOWAŁ?...

A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?

A kto twoje fujareczki czarował?...

Wychował ci mnie mój rodzic,

Ciemny las,

Kędy stoję w chłodnej rosie

Aż po pas!

Wykarmiła mnie ta ziemia, ta matka,

Płakiwała ze mną brzoza, sąsiadka...

Czarna rola podawała

Chleb i sól,

Wykołysał wiatr szumiący

Z łąk i pól.

Latał ci on miesięcznymi nockami

Nad sennymi wioski naszej chatami...

W srebrnej strudze maczał skrzydła

Jako ptak

I roztulał dzikie głogi

Polny mak.

Z starych mogił zbierał skargi i żale...

I otrząsał po kalinach korale...

I uderzał grzmiącą pierśią

W czarny bór,

Aż się ozwał siwych dębów

Głośny chór!

Tęskność, smutek, łzy sieroce, jak biały

Tuman z łąki, za nim w ślady leciały,

Wiatr gałązki moje gibkie

Całował.

Na fujarki je urzekał,

Czarował!...

ŚWIECĄ GWIAZDY, ŚWIECĄ...

Świecą gwiazdy, świecą
Na wysokim niebie...
Jeno nie myśl chłopie,
Że to i dla ciebie...

Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru
Jako skrawek słońca –
To pana ze dworu...

A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga –
Proboszcza naszego...

A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty
Jako srebrną kądziel –
Gwiazda organisty...

Wszystkie przed oczyma
Pałą się jak zorze...
Tylko twojej nie ma,
Chłopie ty, nieboże!

Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości...

Ni chłopca, ni pana
Nie było na niebie,
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie...

Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świecą
Jako talar biały,
A te chłopskie w rolę,
Jak łyzy, pospadały!

ROZBŁYSŁY OCZY MOJE...

*R*ozbłysły oczy moje wśród zieleni
Lasów szumiących...
I napiły się błękitu strumieni
Srebrem ciekących...
Jako jaskółki nad łąką latały
Za błyskiem kosy...
I tak się mgliły, jak obłok ten biały,
Kroplami rosy.
Za falą kłosów, co chwieją się w wietrze,
Szły dumające...
I wypatrzyły jutrzeńki najbledsze,
Nim weszło słońce...
W łunach zachodu, w odblaskach purpury
Ziemię widziały
I do gwiazd srebrnych przez ciemne lazury
Biegły jak strzały...

A przecież znowu smutne są i toną
W cieniach tęsknoty
Choć oglądały tę wioskę zieloną
I plon jej złoty...

Bo przez róż świeżych otwarte kielichy,
Pól barwnych szaty,
Ujrzały lud mój posepny i cichy
I nędzne chaty!...

KOŁYSZ MI SIĘ, KOŁYSZ...

„Kołysz mi się, kołysz,
 Kołysko lipowa!...”
Niechaj cię Jasieńku,
 Pan Jezus zachowa!
Zachowa się roczek,
 Zachowa cię drugi...
A potem cię wezmą
 Do dworskiej posługi.

„Kołysz mi się, kołysz,
 Kołysko pleciona...”
Póki nie wysnuję
 Niteczki z wrzeciona...
Wysnuję ją długą
 Jak te pańskie pola,
A taką ci szarą
 Jako chłopska dola!

„Kołysz mi się, kołysz,
 Kołyseczko z łyka...”
Na gościńcu tuman,
 Z wiatrem gra muzyka...
Oj, grają ci, grają
 Złociste trębacze...
Jasieńko się żegna,
 Matka w progu płacze!

„Kołysz mi się, kołysz,
 Kołyseczko biała...”
A ja sobie pójdę,
 Gdzie ja będę chciała...
Nie pójdę daleko
 Od dzieciątka mego,
Jeno na on cmentarz
 Do dołu czarnego!

NIE MOGĘ MÓWIĆ...

Nie mogę mówić do was, jak bym chciała,
Ani do głębi serca wam otworzyć...
Ale wy wiecie, jak drży i jak pała
Słowo to, które pragnę tu położyć
I stanąć przed nim z pochyloną głową –
Wielkie, zaklęcia pełne, ciche słowo.

Kto je odgadnie – łza zwilży mu oczy
I serce w piersiach gorąco uderzy
I tęcza duchów jasnych go otoczy
Błyskawicami stalowych pancerzy
I tarcz, co przeto tylko były siłą,
Że poza nimi także serce biło.

Kto je odgadnie, uczuje, jak pióra
Z ramion mu rosna do górnych polotów,
Jak zeń trosk drobnych opada wichura,
Jako z duchami jest i jak jest gotów
Wybłysnąć, niby ciosowa kolumna,
Silna – bo w gmachu, że gmach dźwiga – dumna.

Kto je odgadnie, ten pójdzie na pole
Słuchać wiosennych świergotów skowronka
I stanie cichy i wpatrzyły się rolę,
Jak siewy wschodzą na ziarno do słońka
I mu wybijają myśli tajemnicze
Na podniesione w błękitny oblicze.

A potem wróci i zbudzi się nocą,
O gwiazdy oprze oczy zadumane
I będzie się czuł ogarnion tą mocą,
Co do gniazd pędzi ptaki obłąkane
I ludy pędzi pod zorzę jutrzenną
I jest tęsknotą wielką i bezsenną.

Lecz teraz mówić tu z wami nie mogę
Tak, jako czuję i jako bym chciała,
Bo smętność czasów zachodzi mi drogę,
Wiatr chwyta słowa, a nocna mgła biała
Chce rozproszona w pierw być i rozbita,
Nim pieśni wstaną, nim dzień nam zaświta.

Więc z dala tylko stoję i milcząca
Mówię dziś do was zamkniętych ust ciszą
I czołem w brzaski zwróconym do słońca...
I wiem to, że mnie te serca usłyszą,
Które nawykły samotnym swym biciem
Gadać z tęsknotą, z nadzieją i z życiem.

O WY, CO CIERPIEĆ UMIECIE...

O wy, co cierpieć umiecie w pokorze,
 Wy, co nosicie krzywd waszych łańcuchy
Jako wrośniętą w kark krwawą obrozę,
 Słabe, poddania pełne, bierne duchy –
Wy, co chowacie swój ból oswojony
 Jako gadzinę, gdy wyrwą jej jady,
I wieńcem kwiatów umiecie kryć ślady
Cieniowej życia korony –
Co się zwycięzać dajecie bez boju,
 Gotowi zrzec się dziedzictwa światłości,
Byle was tyko z gnuśnego spokoju
 Nie wyrwał okrzyk przyszłości –
Wy, co biegając w palącym się gmachu
 Z wygryzionymi od dymu oczyma,
W kącie chowacie z nędznego przestרחu,
 Zamiast wyjść krokiem olbrzyma –
Wy, co nie macie dość serca i mocy
 Hańbę zwać hańbą, a nędzę zwać nędzą –
Wy, których losy biczują i pędzą
 Po starych przepaściach nocy,
Co czasom gromów, rażeni od trwogi,
 Dajecie pozór spokoju zwodniczy –
Was przyszłość minie, a jutra świt błogi,
 W szereg żyjących nie wliczy!
Mężę i ludy los taki biorą,
 Jakiego w sercu swym znają się godne...
Wielkością czynu, nie martwą pokorą,
 Dzieje ludzkości są płodne.

WIECZÓR JUŻ...

Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
Sklaniają skrzydła ku gwiazdom w polocie...
Oto pól Twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałem już w pracy,
We łzach, w tęsknocie...

Z blasków poranka i dnia, i ze słońca
Nie miałeś dla mnie żadnego promienia!
Oto się czas mój nachyla do końca,
Oto już gwiazda wieczorna i drżąca
Błyska wśród cienia...

Innym oddałeś zórz jasnych kolory,
Nad cichą strzechą rzucone w lazurze,
I zapach łąki, i ciszę w naturze,
Bocianie gniazdu, topole i róże,
I ciemne bory...

Lecz ja ze świata całego ogromu
Jedno jedyne serce wzięłam sobie...
Gniazdo nie spadło, trącone od gromu,
Nie było dla mnie ogniska ni domu,
Żyłam w żałobie...

Po cząstkę moją, na boku stojącą,
Nie wyciągnęłam przez dzień cały ręki...
Życie przechodzi, pomija, potrąca.
Myślałam: „Wspomni” – czekając tak końca,
Nucać piosenki...

Lecz oto kwiaty posnęły majowe,
I kruk samotny znajduje pośłanie...
Czuję chłód ros tych, co lecą perłowe...
Pod cichą strzechą daj skłonić mi głowę,
– Wieczór już, Panie!

TAM, W MOIM KRAJU...

*T*am, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto gwiazd zgaszonych stoi w koronie,
Sto gwiazd zgaszonych nad polem stoi
Jak stu rycerzy w żelaznej zbroi.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto serc gorących tęsknotą płonie,
Sto serc gorących w piersi uderza
Jak duch w żelazne blachy pancerza.

Tam, w moim kraju, w dalekiej stronie
Sto wichrów tętni przez puste błonie,
Sto wichrów tętni przez szlak stepowy,
Jak stu rumaków w złote podkowy.

A jak przeminie sto dni, sto nocy,
Wstaną rycerze w serc żywych mocy,
Wstaną rycerze, dosiędą konie,
Zapalą gwiazdy w złotej koronie.

A JAK POSZEDŁ KRÓL NA WOJNĘ...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej Pbiją króle,
A najgęściej giną chłopcy.

Szumiały orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy...
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy...

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wysłała przeciw zorza złota
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

NA OBCZYŻNIE

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną...
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
Rozbite skrzela, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzepoce gołębi
I puchy kwietne, i nitki pajęczne...
I w takiej skiby głębokie puść rolę,
I daj po brzdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośno po łanie
Dzwonki jałowicze i z biczów klaskanie,
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi,
I taką cichą błękitność daj wkoło,
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszyc,
I taki tuman na gór połóż czoło...
A tylko ludzi zrób – naszych.

W WIELKI PIĄTEK

Tak mi się czasem wydaje, o Chryste,
 Że nie tam kędyś, daleko, za morzem,
Aleś tu, u nas, miał drogi cierniste
 I żeś tu naszym przechodził się zbożem,
Puszczając palce po harfie tych kłosów,
 Co mają ludzki jęk i echa głosów.

Że tutaj, w którejś z chat naszych, o Panie,
 Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Był twój wieczernik smętny i rozstanie
 I chleb łamany z braćmi, i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ściany,
 I pożegnania kielich – krwią nalany.

I zdaje mi się, że te nasze sosny,
 Te brzozy białe, szumiące wśród niwy,
To był ogrojec twej męki żałosny,
 To były twoje miesięczne oliwy
I że tej nocy twój pot ściekał krwawy
 Na leśne zioła nasze i na trawy.

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
 W pęta zakuty i sieczon u słupa...
Bo tak mi, Chryste, znajome twe rany
 I siność twoja i katów twych kupa
I świst rzemieni, co krają jak nożem,
 Że to nie mogło być gdzieś tam, za morzem!

I wiem, że tutaj na miedzy, skrós drogi,
 U jakiejś starej, zapadłej mogiły
Wyrósć musiały te ciernie i głogi,
 Które w twą głowę bolesną się wpiły...
Bo żadne inne tak ranić nie mogą,
 Jak te, co rosną tu, nad naszą drogą.

I to wiem, Panie, żeś tu kędyś blisko
 Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko
I żeś krwią swoją tę ziemię zakrwawił
 I obraz na niej swej męki zostawił,
I patrzę nieraz na pola te puste,
 Jako na ową z Jeruzalem chustę...

I widzę we mgle śnieżystej, z daleka,
Z twarzą znędzniałą, z łachmanem na grzbiecie,
Pochyłego ku ziemi człowieka,
Którego wielki krzyż śmiertelnie gniecie...
I wiem, że to jest Cyrenejczyk Chrysta,
I resztę mgła mi kryje... mgła śnieżysta.

I wiem, i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był przybity do krzyża, o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota
I takie blasków słonecznych konanie
I taka żałość i tak do ostatka
Nigdzie przy krzyżu syna nie trwa matka.

I zdaje mi się, żeś tu wyrzekł słowa:
– „Eloi, eloi, lamma sabacthani?” –
Że tu z ramienia zwisnęła Ci głowa,
I żeś tu skonał i zszedł do otchłani,
Gdzie wszystko chwili wybawienia czeka,
Od polnych głązów do serca człowieka.

I zdaje mi się, że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawałon kamieniem,
I że straż pilna czyni się przy tobie...
Ale ja czekam z tęsknotą i drżeniem,
Bo wiem, bo czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim – będzie twoje zmartwychwstanie!

POETA DO DEMONA

Odkąd błysnąłeś na moim cichym niebie
Gwiazdą zwichrzoną, lecącą w otchłanie,
Wiem, co jest żywot i co jest konanie –
Przez ciebie żyję, umieram przez ciebie.

Ty kwiat trujący – ja zeń miody zbieram;
Ty grom i burza – ja zeń czerpię ciszę;
Ty zgrzyt i rozdźwięk – ja się nim kołyszę –
Przez ciebie żyję, przez ciebie umieram.

Pierś moja stygnie, a serce me bije
Pod twymi ustami i pod twoją ręką;
Rozkoszą ginę, zmartwychwstaje męką –
Przez ciebie konam i przez ciebie żyję.

Na tobie, falo, czoło me opieram,
Na tobie, wicherze, kładę skrzydła moje,
Tobie zniszczenie, siły w sobie dwoję –
Przez ciebie żyję, przez ciebie umieram.

Pieszczota twoja – dzwon na moim pogrzebie,
Pieszczota twoja – szczęścia złota czasza,
Ty – źródło, co pali, i żar, co ugasa...
Przez ciebie żyję, umieram przez ciebie!...

KUBEK

Z jednego kubka ty i ja
Piliśmy onej chwili,
Lecz że nam w wodę padła lza,
Więc kubek my rozbili.

I poszli w świat i poszli w dal,
Osobną każde drogą,
Ani nam szczątków onych żal,
Co zrosnąć się nie mogą...

Dziś, kiedy w skwary znojnych susz
Samotne kroki niosę,
Gwiazdy mi jasne z złotych kruz
Podają srebrną rosę.

Lecz wiem, że w żadnej z gwiezdnych czas
Nie znajdzie się ochłoda,
Jaką miał prosty kubek nasz,
Gdzie były lzy – i woda.

LIRNIKOWI NA VIA MONTEBELLO

„W ogniach jesteś świętych – idź a świeć”

(Z listu T.L.)

Słowy mnie swymi namaścił z daleka,
Jakoby święte wylawszy oliwy
Na czoło moje, ten pieśniarz, co czeka,
Oparty o swój kij pątniczy, krzywy,
Aż łódź tułacza odbije się z brzegu
Do ostatniego, cichego noclega.

A sam, pośpieszny będąc w drogi one,
Patrzył, komu by swą lirę zostawił
I pieśń, jako gołębie uśpione...
A zaś mnie jasną ręką błogosławił
I rzucił na mnie przebłogie swe blaski
I zdał dziedzictwo miłości i łaski.

Słowy mnie swymi namaścił do pieśni
I struny zbudził na sercu mym drżącym,
Jako ci ślepce, co chodzą boleśni
Pod sinym stepie, po polu grającem
Od ech, a ręce na srebrnych piołunach
Nad mogiłami kładą, jak na strunach.

Aż one zioła gorzkie i żałosne
Złotą się gędźbą rozbrzęczą po stepie
I poczną wróżyć kurhanom tym wiosnę
I szum obudzą w wyschniętym czerepie
I kość obwieją na stepie spróchniałą
Echem, co niegdyś na szpiku jej grało.

Jako na skałach siedzący orłowie,
Wypatrzył lot mój pierzchliwy i niski,
I tchu mi dosłał i mocy w swym słowie
I sam się mienić począł w różne błyski,
By mnie nauczył, jak z piersi snuć zorze
I wielkie światła jutrzenne a boże.

I pióra zjeżyły siwe i pod pióry
Piersi pokazał szerniałe i krwawe,
A zaś się lotem wyniósł i wskroś chmury
Przebił na wielką świetlistą kurzawę
I uczył brać się do słońca od ziemi,
Bez jęku, skrzydły bijący krwawemi.

I rzekł mi: „W ogniach świętych jesteś oto –
Idź, a świeć, bym się na ciebie nie żalił”,
I dziwną ducha swojego robotą
W jasny mnie płomień objął i zapalił;
I wiem, że już mi w ogniach onych chodzić,
I żyć płomieniem – i płomienie rodzić.

A nie z rozkoszy próżnej, ni z uciechy
To gorejące wzięłam namaszczenie;
Bo rzadkie w pieśni ziemi tej uśmiechy,
A ciężą na niej popioły i cienie
Rzeczy pomarłych, a praca to sroga
Śpiewać, gdy w piersiach jest ucisk i trwoga...

Ale mi czynić trzeba, co duch zdarzy,
A iść za głośnym od mogił podmuchem
Ku jutrzni onej, co na dzień się żarzy,
I za tym wielkim, żurawi łańcuchem
Pióreczkiem lecieć porwanym od ziemi,
Z piosenką cichą i łzami srebrnymi...

NA ŚNIEGU

Gdybym srebrne piórko miała,
Tobym w szronie je maczała,
W rannym szronie, na tej łące,
Gdzie brylanty leżą drżące.
Leżą drżące, rozsypane,
Bładym słońkiem malowane...
Na naszej łące!

Gdybym srebrne piórko miała,
Na kryształach bym pisała,
Na kryształach, na tej wodzie,
Co stanęła w jasnym lodzie,
Ani idzie, ani płynie,
Tylko duma w swej głębinie...
Na naszej wodzie!

Do zimowej bo piosenki
Ni mi kwiecica, ni jutrzeńki,
Ni błękitów tego nieba,
Tylko śnieżnych pól mi trzeba,
Tylko zmarzłych pereł szronu,
Tylko bicia śmierci dzwonu,
Tylko łez trzeba!

W KAMIENIU POLNYM...

W kamieniu polnym, co grób mój pokryje,
Niech mi kamieniarz lireczkę wyryje,
Lirę tę swojską, a własną, a ona,
Którą to po wsiach za dawna noszono,
Iżby szła z brzękiem skowrończym wśród kmieci,
Aż w echo rzuci płacz swój, a odleci.

A pod tą lirą, jeżeli mu wola,
Niech żytnie kłosa z naszego da pola,
Kłosa ubogie, z chudymi, ot, ziarny,
Na chleb powszedni, ościsty, a czarny,
Po którym człowiek do ziemi przyrasta
I ciągnie pług swój prastary od Piasta.

A potem, chce-li, niech kamień obtoczy
Polnym powojem, co modre ma oczy,
A niechaj na nim napisu nie kładzie
I niech go w rzędzie nie stawia, ni w ładzie,
Tylko w zakątku, gdzie brzoza szum niesie...
– A można w lesie? – To owszem, niech w lesie!

W LESIE (ZAGUBIONA W LEŚNEJ CISZY...)

Zagubiona w leśnej ciszy,
 Ścieżką moją idę wzdłuż,
A cień nikły za mną dyszy,
 A cień nikły za mną tuż.

Ni go szukam, ni chcę rzucić,
 Tylko w piersi brak mi tchu;
Tylko oczu nie śmiem zwrócić,
 By w oblicze spojrzeć mu.

Nie uciekam ani gonię,
 Ani płaczę, ani drżę;
Tylko obie moje dłonie
 Załamują same się...

Tylko coś mnie tajnie wzrusza
 W ten wieczorny, mglisty czas,
I wiem, że to moja dusza
 Idzie za mną ścieżką w las...

W WIELKIEJ I PUSTEJ NAWIE...

W wielkiej i pustej nawie –
 Myślę o tobie...
W wielkiej i pustej nawie
 Rzuca się blask jaskrawie
Przez szyb gotyckich barwne tła
 I na kamiennych taflach drga...
– Myślę o tobie.

W łukach mrok drzemie szary –
 Myślę o tobie...
W łukach mrok drzemie szary,
 Westchnieniem drżą filary...
Cisza – co w sobie ma krzyk i jęk –
 Ból życia, cierpki grobu lęk...
– Myślę o tobie.

INCANTO

*B*rzask chłodny, szary. Mgły zroszonym piórem
Od Lido ciągną na wskrós przez senne wody.
Wtem plusk... za starym arsenału murem
Łódź robotnicza cichymi mknie chody.

I nagle śpiewać zaczyna głos młody
Starych Wenetów pieśń; a za nim chórem
W oczarowaniu bezbrzeżnej swobody
Sto męskich głosów wybucha mu wtórem.

Ucichli. We mgłach na Murano płyną,
Słuchając, rychło dzwon z huty uderzy.
I znowu śpiewać zaczyna głos świeży...

I znów z stu męskich piersi za dziewczyną,
Pieśń bucha... Zanim łódź dotknie wybrzeży.
Do nich świt, echo i morze należy.

RANEK W WENECJI

*R*ajski ptak słońca wzleciał, roztrząsnął swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza,
I zgłuszył śpiew księżycy, nocy trubadura.

Ziemia-Danae leży w perłach ros. Ułoża
Odchylona już rąbków mgły srebrzy się chmura,
A na złotym wezglówiu dogasa purpura
Jutrzennych róż, zaledwie rzuciła je zorza.

Italia! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie;
Na ogromnych twych wodach, na szerokim niebie
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata!

Ale ja z krain idę, kędy na dnia progę
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

W ZAKRYSTII NA MURANO

Stary, dębowy pulpit, stara na nim księga,
Przed pulpitem mnich siedzi podparty w zadumie,
Gałąź akacji, w cichym chwiejąca się szumie,
W otwarte okno bije i do wnętrza sięga.

Na mozaikach podłogi leży słońca wstęga,
Pszczoła brzęczy i tonie w gwiazdzistym arumie,
Morza gra, niby organ w odległym gdzieś tumie...
Traw skoszonych woń bije pieśń złota...

A pątnik, co tu przyszedł oglądać Madonę,
Widział cud! Widział serce, kwitnące i wonne
Na kolczastej gałęzi zeszcłego żywota.

W STARYM APSYDZIE...

W starym apsydzie mozaiką się kwieci
Ów duch wiosenny odległych stuleci,
Co te nadziemskie rzeczy i te boże
Zaklinał w kamień i kładł na nich zorzę
Swych prostych wierzeń tak cudny i świeżą,
Iż do dziś rosy jutrzeźne tam leżą,
A komu dusza ustaje od spieki,
Tu pić przylata jak gołąb daleki.

W starym apsydzie dna świecą złociste,
A na nich tron Twój, rozjemco dusz, Chryste,
Co z twarzą mroczną i w ciemnych barw szacie,
W wiekowej ciszy trwasz tu majestacie.
Dookoła srebrnym objęły cię wiankiem
Białe lilie na przemian z barankiem
I gwiazdy w jasnej stanęły ozdobie,
Gotowe zaraz iść i służyć Tobie.

A u Twych kolan, po dwojej Ci stronie
Rab nędzny klęknął i mocarz w koronie;
A na tym jednym – zetlałe łachmany,
A na tym drugim – z bisioru płaszcz dziany.
A na tym jednym – niewoli łańcuchy,

A na tym drugim – jedwabie i puchy;
Ten jeden w mroku, ten drugi pod tęczą,
U tronu Twego poklękli i klęczą.

A Tyś jednak opuścił Twe dłonie,
Na głowę w prochu i głowę w koronie,
I nad obiema upada z wysoka
Łza uzalania, o Chryste, Ci z oka
I równym smętkiem twarz chylisz surową
Nad tą zdeptaną i jasną tą głową...
Boś Ty jest świadom, o sędzio i królu,
Że rab i mocarz – jednako syn bólu!

*FAUN PIJANY**

Rozpasał biodra i na pustej łągwi
Legł – wina syty.
Zmrużonym okiem jak płomieniem żagwi
Mierząc w błękity.

Pijany?... Gdzie tam! On tylko z dna czary
Dobył odwagi
Twarzą w twarz spojrzeć na Olimp tak stary,
Tak pusty, nagi!

Leży i patrzy. Na twarzy mu siada
Śmiech mądry, cichy...
A śmiech ten Olimp w atomy rozkłada,
W pył zmienia lichy.

Błuźni?... Niech Zeus zachowa wysoki!
On tylko ręki
Przepyszny ruchem wystawił w obłoki
Palec maleńki.

Maleńki palec Fauna!... Gdzie są bogi
Wieczyste, które
Przed palcem fauna bladnęłyby z trwogi,
Kryły się w chmurę?...

Tak w Arystyda atrium legł wspaniały,
Nagością hardy,
I patrzył w Olimp, a lica mu grały
Uśmiechem wzgardy.

Strzeż się! Grzmi Zeus!... Już boki wulkanu
Piorunem porze...
Już odegrzmiały, u nóg leżąc panu,
Ziemia i morze.

Już z żył praświata krew ognia wytryska,
War bucha siny...
Chybło się morze i leci z łożyska
Na port Resiny...

* Muzeum w Neapolu.

Już śmierć poszczuła, co było żyjące,
Przemściwą ręką..
Już psy podziemne zawyły na słońce
czarną paszczką..

Już pędzą z hukiem Hadesu trzy rzeki
Na sień Arysta..
Już gród Herkula zalewa na wieki
Powódź ognista.

Lat dwa tysiące przegrzmiało po świecie
Pomsty tej echem,
A Faun jak leżał, tak leży na grzbiecie,
Patrząc z uśmiechem.

I w brąz zaczerniał i twardszy od spiży,
W tym śmierci boju,
W wiecznej się Piękna zataił paizy,
W piękna spokoju.

I wyszedł z otchłań, gdy czas mu domierzy
Lat dwa tysiące,
A jak przed wieki, z uśmiechem znów leży
I patrzy w słońce.

A jak przed wieki, drzemiące wśród chwały,
Drażni niebiany,
Wytknąwszy w błękit ten palec swój mały,
Faun pijany.

WIĘC KU FIESOLE...

„...Noi andavam, per lo vespero attenti”

Dante, *Purg.* (XV, 139)

Więc ku Fiesole gdyśmy szli z pośpiechem,
Rzekł: „Do twej duszy pielgrzymuję oto
Przez lata już tyle, rzucając się echem,
Pieśnią, tęsknotą...

Bo czas jest mały, a ja mam ci wiele
Mówić i pytać, i słuchać w zadumie:
Co robi polne i łążne to ziele
W zbożowym szumie?...

Bo czas jest mały, a wiedzieć mi pilno
O tych wasilkach, o tych bożych głędach,
Co zarastają drożynę mogilną
Wonią na grzędach...

O wszelkim zielu prostaczym i lichym
Troskę mam w sercu i drzenie mam w duszy,
I czuję dreszcz ich, gdy polem się cichym
Wiatr chłodny ruszy...

I mam ci wiele powiedzieć o ziołach,
Co nigdy z rosy obeschnąć nie mogą,
I całe we łzach srebrnieją po siołach,
Albo nad drogą...

I pilno wiedzieć od ciebie mi trzeba
O tych dziewannach, co świecą w ugorze,
I o konwaliach, dzwoniących do nieba
Na ranne zorze...

To wszystko mów mi – bo jest już czas mały,
A w duszy suchość gorąca dopieka...
Powiadam tobie: Dziś czuję dzień cały
Woń pól z daleka!” –

I szedł, ściągnąwszy ramiona przed siebie,
W oczarowaniu niezmiernej tęsknoty...
A od Fiesole sierp błysnął na niebie,
Modry i złoty.

GIOTTO

Między ludźmi tak chodzić musiała,
Niby dumna i niby nieśmiała,
Z licem smętnym bezbrzeżną tęsknotą,
Jak ją tutaj zostawił nam Giotto*.

Prosty rąbek własnego przedziwa
Pierś jej wąską i szczupłą okrywa,
Prosty rąbek z lnów cienkich utkany,
Co błękitem maluje skroś łany.

Ani jej tu aniołowie służą,
Ani ona jerychońską różą,
Ni na tronie słonecznym królową,
W światłokręgu siedmiu gwiazd nad głową.

Jeszcze skrzydeł Duch nad nią nie waży,
Jeszcze świat jej nie stawia ołtarzy,
Stoi cicha, a boża prostotą...
Tak ją tutaj zostawił nam Giotto.

Ciemna w twarzy od zmierzchów tej ziemi,
Zadumana myślami smętnemi,
Gdzieś w dalekiej, nadprzestrzennej ciszy
Szumy oliw ogrójcowych słyszy.

Nie prorockie księgi z nią mówiły,
Lecz zapadłe przydrożne mogiły,
Ale łąki drżące we łzach rosy,
Ale w stepie rozełkane głosy.

Nie pogląda w rajskie pozaświaty,
Lecz na liche i zapadłe chaty,
Lecz na czarne, uciszone bory,
Lecz na ciemniem zarosłe ugory.

Iść by mogła między pola nasze,
A nie zlekłoby się nawet ptaszę...
Iść by mogła między nasze płoty,
A nie zlekłoby się i sieroty.

Tylko nędzarz podniósłby się z ławy,
W ciemnej twarzy wzrok utopił mgławcy
I wybuchnął łez nawałą złotą...
Tak ją tutaj nam zostawił Giotto.

* W muzeum bolońskim.

BAGNASCO

Szeroka, modra cisza. Jak wzrok objąć zdoła,
Lazur w świetle stopiony zalewa świat cały.
Błękitem dyszysz, błękit opływa dokoła
Myśl, czucie i tyrręskie w mgłach zagubione skały.

Na stromym cyplu mury biednego kościoła,
Szare, spękane; przy nich wirydarzyk mały,
W którym głośniejsze niż morze brzęczy złota pszczoła...
...Błękitem dyszysz, błękit opływa świat cały.

A na kamiennej ławie, u kamiennej ściany
Stary ksiądz siedzi, w lichą sutannę odziany,
Twarz ma wyschłą, szerniącą, włos długi i biały.

Ul plecie. I wśród kwiecia swojego ogrodu
Uśmiech ma w ustach jako złotą kroplę miodu...
...Błękitem dyszysz, błękit opływa świat cały.

OTO ŁÓDŹ MOJA...

*J*ęzyków ludzkich słuchałam do syta,
Do tchu utraty, do zawrotu głowy.
– Oto łódź moja od brzegu odbita...
O morze, twojej pożądam dziś mowy!

Niechże mnie teraz cisza twa powita
Zapomnianymi w wrzawie świata słowy;
Niechaj bezbrzeżnym błękitem nakryta,
W głos się twój wsłucham i w płacz twój echowy!

Mówże ty ze mną teraz pacierz stary
Dzieciństwa mego, porannej mej wiary,
Pacierz pól moich, gdzie szumi łąn żyta...

Mówże ty ze mną milczeniem zadumy
I takim szumem, jak borów mych szumy...
– Oto łódź moja od brzegu odbita...

MEWY

Nad modrą toń wykwitły, trysnęły kaskada,
Na roztrzęsionych piórach niosą morza piany,
Lecą w słońce, jak obłok złotem malowany,
I wiankiem się róż białych na powietrzu kładą.

Gina, gasną, uchodzą w tęczę jakąś bladą...
Wtem ciśnie zdechłą rybę pachol w półpijany,
A wnet ostrzem przecina błękitny krzyk szklany
I na żertwę spadają zwichrzoną gromadą.

O serce, między niebem a ziemią zakłete!
Serce, rozjęciem skrzydeł na zorzach aż święte,
Anielskie wzloty twoje w jutrzenkach się ważą...

Lecz niech los-pachol ciśnie w półzgniłą zanętę,
Wnet ty, o najsrebrzystsze, ty, o wniebowzięte,
Z krzykiem żądzy nań spadasz i zwierzęcą twarzą.

SORRENTO

Obrzask... Jeszcze się zorza na wschodzie nie pali.

Morze w mgłach wielkich leży... Tumanem nakryta,
Silnymi zwierciadłami skrós pary toń świta.
Gdzieś u brzegów plusk miękki słyhać sennej fali.

Wyteż wzrok! Tam, punkt srebrem malowany w dali
Zbliża się, rośnie... Okręt! Nad nim dymów kita,
Białością pióropusza w perłową mgłę wszyta,
Za nim się szklana smuga skrós morza kryszkali.

Mistyczna róża słońca w paku jeszcze leży,
Skrawszą się tylko bielą dokoła wschód śnieży,
Mewa pióra w biel macza, przemija i świeci...

Jak dziwne dzisiaj morze misterium odgrywa!
Jaka wizja mar cichych ogromna i żywa...
Na jakie pola śnieżne dusza moja leci!...

NOKTURN

*D*o nocy tęsknię, do srebrnego cienia,
Co by mi nakrył źrenice płonące
I dał współsenną chwilkę upojenia...

Do nocy tęsknię i przeklinam słońce,
Które swe wszystkie blaski rzuca we mnie,
By mi pokazać więzy nas dzielące.

Wiem, że na próżno, i wiem, że daremnie
Ten sen mnie cichy kołysać przylata,
Co twoje imię szepce mi tajemnie...

Wiem, że się nigdy nie zejdą wśród świata
Takie dwie drogi i takie dwa duchy,
Które raz życie – jak nasze – rozbrata.

Wiem, że to sen jest, sen wiotki i kruchy,
W który się oczy moje zapatrzyły,
I że do śmierci mam dźwigać łańcuchy.
A zaś mieć zimne, dalekie mogiły.

Z GŁAZU NA GŁAZ...

Z głazu na gład, stanęłam na wiązaniu kruchem,
Co dzień od nocy dzieli i od śmierci życie,
Nad ogromnym spienionej przepaści wybuchem...
Pode mną huk i mrocznych skrzydeł nocy bicie.

Przez mchowych gobelinów wilgotne poszycie
Otchłani warczy i wstrząsa, jak brytan, łańcuchem...
U stóp moich jej piany, jej gniewy, jej wycie...
Depcę je, chłoszczę wzrokiem... Jestem tylko – duchem.

Z głazu na gład, zstąpiłam pod wściekłym nawałem
Wód, pędzących na głowę i mnie, i otchłani,
Ogłuszona dział śmierci stukrotnym wystrzałem.

I nagle ptaszym piórem uczułam się małym,
Daleko uniesionym od cichej przystani,
I drząc, zakryłam oczy... Byłam tylko – ciałem.

KTÓRY MA ZŁOTY KLUCZ...

*K*tóry ma złoty klucz od jasnej zorzy,
Który otwiera, a nikt nie otwiera,
Który otwiera, a nikt nie zawiera,
Wrota jutrzeńki nad światem roztworzy.

I spyta: – Którzyż są przed drzwiami memi?
Skąd przyszli? W jakie obleczeni zbroje?
Sąż to setniki i namiestne moje,
Które za siebie postawił na ziemi? –

Lecz ujrzy rzesze ciche jak łąn żyta
I nie odziane żelazem ni złotem,
Rzesze, co we lnach chodzą, złane potem,
I zadumieje w sobie – który pyta.
I puści światło, i onym otworzy,
Co oczy wznoszą do jutrzni rozbłysku,
A żyją chlebem swojego ucisku...
Który ma złoty klucz od jasnej zorzy.

KTO KRZYWDĘ PŁODZI...

*K*to krzywdę płodzi, niech jeszcze ją płodzi,
A który płacze, ten jeszcze niech płacze.
Noc się przesila i dzień już przychodzi:
– Obaczę!

Kto ucisk mnoży, niech jeszcze go mnoży,
A który milczy, niech chowa swą ciszę.
Rychło się błękit nad światem otworzy:
– Usłyszę!

Kto cięży ziemi, niech jeszcze jej cięży,
Kto pomsty żąda, niech wstrzyma swą żądzę.
Rychło się szala u wagi natęży:
– Rozsądzę!

NIECHAJ SIĘ LUDY...

Niechaj się ludy nie trwożą, nie smuć,
 Że im proroka wielkiego nie stało!
Bo to, co polne ptaszęta im nuca,
 Też jest tym słowem, co zmieni się w ciało...
I nie z dżdżem wielkim, lecz z rosą to siemię
 Pada, co chlebem nakarmić ma ziemię.

LIPY KWITNĄ...

[Fragment]

Lipy kwitną... Woń przesłodka dyszy,
Puch się kwietny sypie poprzez płoty;
Wskróś szerokiej, wskróś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu pszczelny rój nasz złoty!

Lipy kwitną... Złoty rój nasz brzęczy,
Miodem pachnie prastara pasieka,
Malowany kolorami tęczy
Tuman siny wieje gdzieś z daleka.

Lipy kwitną... W sinym wskróś tumanie
Ciche, sennie w zorzach widać chaty,
A do każdej światła zwiastowanie
Jasną stopą niesie duch skrzydlaty.

Lipy kwitną... Idą w gości duchy
Do chat czarnych, do niskiej zagrody,
A wskróś drogi polatują puchy,
A wskróś drogi pachną białe miode.

Lipy kwitną... Oto przypomina
Stara chata przedwiekowe dzieje...
Oto bije przejrzania godzina,
Oto brzask się ciemnym oczom sieje...

Lipy kwitną... Wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonią cudu...
W słońce spojrział ślepy syn narodu,
W słońce spojrział duh mojego ludu.

Lipy kwitną... Woń przesłodka dyszy,
Kwietne puchy lecą poprzez płoty,
Wskróś szerokiej, wskróś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu stary rój nasz złoty!

FATUM DO LYKOFRONA

El-yemu

Opuścił dłonie Lykofron i podniósł czoło,
W echo słów własnych wsluchany, utkwivszy oczy
[w przestrzeni,

Kędy na greckim błękanie
Gorzało słońce.

A przed nim płyta kamienna, gorąca jeszcze
Od rylca, który ją zbruzdził, zdała się nosić na sobie
Ślad piorunowej tej myśli,
Co mózg mu żarła,
Gdy nagle, w ciszy głębokiej, ten głos postłyszał:

„Dajcie mi jeszcze tych dawnych, starych Tytanów,
Co głązy w niebo ciskali i z pięścią szli przeciw bogom,
By wydrzeć z rąk Zeusowych
Ogień żywota!
Dajcie ich jeszcze! Niech walka krwawa a głucha
Wre po dawnemu na ciosy między Olimpem a człkiem
I niechaj żar nieśmiertelny
Rozpali piersi,
Które w zwątpieniu zastygły jak piersi trupa.

Czymże są bowiem bogowie, jeśli nie kłamstwem
Dla niewolników, co karki nędzne swe w jarzmo schylają
I małoduszne łzy leją
Z dała od czynu,
Niemoc swej duszy złożywszy i słabość swoją,
Która jedynym ich bogiem i pierwszym buty tyranem,
Na jasne barki Zeusa
Wszechhistnień pana,
W śnie przed pociskiem piorunu szukając schrony?

Czymże i samo jest nawet Fatum wieczyste
Dla tych, co doli swej czarnej pod bicz podają grzbiet
[krwawy,

Nie uchylając od ciosu
Spodłonej głowy,
Jeśli nie własną słabością, tą nieśmiertelną
Od krain słońca zaporą i od krain żywota,
Do których mocni się tylko
I dumni rodzą,
By prometejskie dziedzictwo piastować godnie?

Sam sobie życia nić przedzie każdy z żyjących.
Sam w sobie nosi swe losy, ktokolwiek rodzi się na świat.
A nie widziano przez wieki,
Aby ten upadł,
Kto jasne życia ognisko w piersi rozpałił
I przy najwyższym swym prawie, przy prawie życia stał
[silnie,
I tchnął płomieniem w blekity,
I w ziemię wrastał
A w czasów swoich przeczeniu nie żył ni chwili.

Bogowie nawet upadli, iż zbrakło siły,
Która nad nektar ambrozji piersi do życia ukrzepia
I nieśmiertelność rozdziela
I im, i ludom.
I nigdy ona z Betlejem gwiazda czerwona,
I nigdy wielki cień krzyża, co padł na Olimp z Golgoty,
Nie byłby strącił Zeusa
Z przeświętych własci,
Gdyby zwątpienia czerw jemu serca nie stoczył.
O, nie «w girlandy różane, nie w mgły srebrzyste
Rozwiął się Olimp wysoki» i mocnych bogów plemiona!
Ale wśród gromów i trzasków
Runął w zwaliska,
By człowiek, patrząc z przestraczem w pustą pierś
[wiecznych,
Z której wygryzion dzwon życia – życia bijący godziny,
O losy swoje wśród drżenia
Nie bogów pytał,
Lecz pytał serca własnego i własnej piersi!

Ja, co z ukrytym obliczem nad ziemią władam,
A nie zdejmuję zasłony ani przed słońcem-rodzicem,
Ani przed nocą gwiazdzistą
I wszechświatłą,
Oczom twym daję widzenie zabłyску tajni!
Pojrzyj – a obacz, iż Fatum nie jest czym innym
[straszliwe,
Jak tylko wagą sił życia
I życia woli,
Nad przepaściami chwiejącą ludy i bogi!”

I upadł na twarz Lykofron, i Grecji płakał.

LA RUOTA

*R*zędem zasiadły z księgami proroki
Na starym fresku sklepionej Ruoty:
Mojżesz, Ezechiel, od widzeń swych złoty,
Izajasz, Amos, Daniel orlooki.

Lecz czas szedł tędy gromowymi kroki
I rewolucji wielkiej biły młoty,
I wichry wieków tu brały swe loty,
I starły twarze, szaty i obłoki.

Sam Hiob, jak żywy, został wśród tych cieni,
Z ręką wzniesioną z niedoli barłogu,
Z jękiem na ustach, w nędzy swej łachmanie...

Jego się tylko proroctwo nie zmieni:
Wieczny krzyk bólu od niebios gdzieś progu
I wieczna cisza nad nim... To zostanie!

I GROBY UMRZEĆ MOGĄ...

I groby umrzeć mogą. I śmierć sama
Śmiercią zabita być może...
Oto kamienne łożo.
Sarkofag pusty, rozchylona brama,
Przez którą wiew ten, co lci od wieka
Tchnieniem ciszy, hukiem gromu,
Wywiał prochy człowieka
Z tego, gdzie wiecznym prochem leżeć mniemał – domu

I groby ożyć mogą. I śmierć sama
Zmatrwychpowstała być może...
Oto kwieciste łożo,
Sarkofag pusty, rozchylona brama,
Przez którą wiew ten, co leci od wieka
Tchnieniem ciszy, hukiem gromu,
Siew życia przywiał z daleka,
Do tego, co miał śmierci pieczęć nosić – domu.

O WRZEŚNI

*T*am od Gniezna i od Warty

Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy:
– Prusak dzieci polskie męczy!

Za ten pacierz w własnej mowie,
Co ją zdali nam ojcowie,
Co go nas nauczyli matki,
– Prusak męczy polskie dziatki!

Wstał na gnieździe Orzeł biały,
Pióra mu się w blask rozwiały...
Gdzieś do boga z skargą leci...
– Prusak męczy polskie dzieci!

Zbudziły się prochy Piasta,
Wstał król, berło mu urasta,
Skroń w koronie jasnej świeci,
Bronić idzie polskie dzieci...

– Zwołajcie mi moje rady,
Niechaj śpieszą do gromady!
Zwołajcie mi moich kmieci...
Prusak męczy polskie dzieci!

Wstańcie, sioła! Wstańcie, grody!
Ruszcie z brzegów Gopła wody!
Bijcie dzwony od Kruszwicy,
Skroś Piastowej mej ziemicy!

Bijcie dzwony, bijcie serca
Niech drży Prusak przeniewierca,
Niech po świecie krzyk wasz leci:
– Prusak męczy polskie dzieci!

Niechaj wiara moja stanie,
Niech się skrzyknie zawołanie,
Wici niechaj lud zanieci...
– Prusak męczy polskie dzieci...

WIĘC STOJĘ TUTAJ...

Więc stoję tutaj na wieczności drodze,
Pod światłem wielkich gwiazd, co lśnią jak ćwiki,
I woźnik ten już pochwylił za wodze,
Co mnie ma powieźć w gościniec daleki...
Jestem tu jeszcze, ale już przechodzę,
Już zapomnienia wołają mnie rzeki,
I wszystko jest już gotowe i pilne:
Duch utęskniony i darnie mogilne.

Co było z ziemi we mnie, dałam ziemi
I nie mam w sobie nic z piór onych bicia,
Co nad drzewami latają rajskimi,
Gniazda szukając dla szczęścia i życia...
Nie zbieram kłosów z pól, jako Noemi,
Ni kwiatów, bliskich pełnego rozwicia...
Stracone jest już gniazdo i zrąbane
Drzewo, a pola – burzami zaorane...

Nie żał mi życia i nie żał mi doli,
I mówię o tym bez łez, bez goryczy.
A jeśli we mnie jest ból, który boli,
A jeśli we mnie jest krzyk, który krzyczy,
Jeśli się z troską oglądam ku roli,
Którą wicher smaga i tnie w tysiąc biczy,
To nie dla siebie, nie o sen rozwiany...
Tak mi dopomóż Bóg i święte rany!

Ja się nad ziemię unoszę już pióry,
Co odlatują za wielkie gdzieś morze...
I wiem, że za mną polecą te sznury
Żurawie duchów w ten rozbrzask, w te zorze,
Co świecą, choć je oczom skryją chmury,
Co słońce jutra z sobą wiodą Boże...
Wiem, że się duchów odezwą hejnały
Ku pieśni, która wieszczyla dzień biały.

Ja nie z tych ptaków, co się gospodarną
Rzeszą pod strzechy tułają, między kłosy,
I do użątka złotego się garną,
Gdy zmierzch zachodzi i noc sypie rosy...
Ale z tych jestem, co ziemię tę czarną
Krzyczącą czynią i dają jej głosy
Swoje... zaś zorzy wieczorną godziną
Rozpłomienione w blask lecą – i giną.

W PRZESTRZENIACH NIESKOŃCZONYCH...

W przestrzeniach nieskończonych

 Nie mogę stracić siebie
I jestem w każdej gwiazdzie
 Na rozgwieżdżonym niebie,
I jestem w każdym dreszczu
 Tej wieczorowej ciszy,
A kto tchu ziemi słucha,
 Ten duch mój w nim dosłyszcy.

Na jednej ze mną fali
 Niosą się smutki świata,
I jeden żar nas pali
 I jeden wicher oblata...
A duch mój, gdy uleci,
 Uleci lub upadnie,
Wybłyśnie gwiazdą w niebie
 Lub perłą w morzu na dnie.

TU SIĘ DROGA ZAŁAMAŁA

Tu się droga załamała,
 Tu się droga zawróciła,
Gdzie ta brzoza stoi biała
 I gdzie stoi ta mogiła...
Gdzie ta prochu garstka mała,
 Co bijącym sercem była...
Tu się droga załamała,
 Tu się droga zawróciła.

Jeszcze szeptał liść zielony,
 Nagle – strząsała go wichura...
Jeszcze śpiewał ptak i nagle
 Zamilkł, martwe jeżąc pióra...
Jeszcze widne było słońce,
 Nagle – w noc się skryło ciemną...
Jeszcze cichość była polna,
 Nagle – świat się wstrząsnął pode mną.

Żaden głos nie przemknął głuszą,
 Żaden cień nie przemknął drogą,
A wiedziałem – posły idą,
 A wiedziała już – od kogo...
Żaden dreszcz nie zmarszczył toni.

NIE POŻĄDAJ WYNIOSŁOŚCI...

...*N*ie požądaj wyniosłości dębu,
Nie požądaj śmigłości kolumny.
Umiej trzem niskiego być zrębu,
Szumów brzozy dla swojej chciej trumny.
Łęzną trawą być umiej ze światem,
Trawą cichą i trawą podolną,
I przyziemnych ziółeczek bądź bratem
I miej duszę zroszoną i polną!

NIC TU SKOŃCZONYM NIE JEST...

...*N*ic tu skończonym nie jest i przeżytem,
Lecz wszystko trwa pod błękitem.
Życie – żadnym ogniwem
Umrzeć nie może swoim,
Ale całe jest żywym,
Drgającym...
A lzy ziemi, wylane przed wieków tysiącem,
Nie są martwym stalaktytem,
Lecz wiecznie rozelkanym, żywym płyną źródłem.

Nic tu zyskane nie jest i nie jest stracone.
W porzecznym piasku,
W słonecznym blasku
Lśni złoto, co zdołało Atlantów koronę,
A skarb, co w ręku ściskasz, cudzy jest tak samo,
Jakbyś go rzucił przed gospody bramą.

Nic tu osobne nie jest ani wyłączone.
Co jest w tobie, jest w wszechświecie,
Jednego planu widne i znaczone
W gwiazdach i w stokroci kwiecie...
Mistrz nie dał nam zagadki bez rozwiązań klucza,
Lecz klucz w zagadce zamknął. Tak rozum naucza.

GDY PŁACZĄC...

...*G*dy płacząc, śmiejąc się z braćmi,
Na obce puszczasz się harce,
Lada pastuszę cię zaćmi
Na prostej grając fujarce.
Gdy śpiewać będziesz dla braci,
Swojsko im śpiewaj i jasno:
Pieśń, jeśli krzepić ma duszę,
Jak duszę – trzeba mieć własną!

MNIEJSZY NIŻ MAŁY...

...*M*niejszy niż mały jest mój duch,
I większy niżli wielki.
Nie kładzie granic wieczysty ruch
Pomiędzy mórz kropelki.

W oceanowy chwycona bieg
Toczy się fala żywa...
I jedna kropla, co bije w brzeg,
Też morzem się nazywa.

ROTA

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lód,
Królewski szczep Piastowy,
Nie damy, by nas zniemczył wróg...
– Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Broni będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg...
– Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił.
Oreżny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił,
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg...
– Tak nam dopomóż Bóg!

POCAŁUNEK ROBERTA EMMETA

Wschodzi ranek w różanej świetlicy...

Stanął Emmet u stóp szubienicy.

Stanął Emmet, pojrzał się do świata...

Nie ma przy nim ni druha, ni brata.

– Hej, bratowie, hej, wy szczerze druchy!
Jak świat pusty bez was, jaki głuchy!
Nie masz, komu ścisnąłbym prawicę,
Gdy mi przyszło iść na szubienicę!

Stanął Emmet, pojrzy się po niebie:

– Ziemi-matko, ginę, syn, za ciebie...

Za twą wolność, narodzie mój, ginę

Sam – samotny w ostatnią godzinę.

Głucho bęben złowieszczy uderza:

– Robert Emmet, domawiaj pacierza!

Z głuchym ziemię kopają łoskotem:

– Robert Emmet, żegnaj się z żywotem!

Podniósł Emmet płonące źrenice

Nad wysoką czarną szubienicę.

– O Irlandio, tyś moją modlitwą,

Tyś pacierzem przed ostatnią bitwą!

Jakiś gwałt mu rozpręży ramiona:

– Lud mój chciałbym przycisnąć do łona!

Chciałbym żegnać... Chciałbym raz ostatni

Czuć na ustach pocałunek bratni!

I pochylił swą tragiczną głowę:

– Przez te rany... przez te Chrystusowe...

I ostatnim pocałunkiem brata

Ucałował straszne lico kata.

Głucho bęben złowieszczy uderza;

Płacze wolność swojego rycerza;

Głucho grudę ciskają kopacze,

Ziemia-matka syna swego płacze.

CO OJCZYŻNA?

Na nutę: „Serce nie sluga...”

Ojczyzna moja – to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce, i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja – to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta;
To rzeki, lasy i niwy, i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja – to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny, a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja – to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, to smętne mogiły –
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja – to ten duch narodu,
Co żyje cudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci!

TRZECI ROZBIÓR (1795)

Z trzech stron wicher srogi,
Z trzech stron idą wrogi,
Ach, któż cię ocali,
O kraju ty nasz drogi.

Już Ostra Brama wzięta,
Już Praga w pień wycięta,
Już Prusak z wież Poznania
Ostatnie orły zgania.

Z trzech stron dmie wichura,
Z trzech chmur jedna chmura,
Już gromem piorun bije,
W skrwawione orle pióra!

Już w kraj w troje dziela,
Już łupem się wesela –
Już Polskę rozebrali,
Już grób jej kopać dali.

Już kamień ją przywała,
Prusaka i Moskala,
Lecz Polska żyje w grobie,
I wstanie w wiosny dobie!

Choć oczy jej zamknięte,
Choć usta niemo ścięte –
Choć ostrzem pierś przebita,
Powstanie – gdy zaświta!

ZA RODZICÓW

*B*ym anielskimi umiał mówić słowy,
By się z słów moich rajskie wiły kwiatki,
Kiedy najdroższe polecam ci głowy:
Ojca i matki!

Jak drobny kłosek pod słońca promieniem
Wyrasta ziarno do plonu, do życia,
Tak ja z ich miłym na ustach imieniem
Rosłem z powicia.

Co wiem, czym jestem, co myślę, czym żyję,
Wszystko mi przez nich objawia Twą chwałę,
Źródło miłości z ich serca mi bije
Na życie całe!

Gdy ojciec dla mnie o kęs walczy chleba,
Gdy matki błysnie uśmiechem twarz blada,
Wtedy Twój, Panie, z błękitów gdzieś, z nieba,
Cień na mnie pada...

Wtedy to chciałbym skrzydłami lotnemi
Za twoim wielkim podążać przekazem,
Wtedy to czuję, że oni na ziemi
Twoim obrazem!

O, chroń mnie, Panie, bym kiedy złym czynem
Miał ich zasmucić, zasepić im czoła!
O, spraw, niech czują, że dałeś im synem
Swego anioła!

O ŚWIATŁO

*M*ówią, o Panie, że pielgrzymom świętym,
Gdy idą nocą w ciemności i w trwodze,
Złotym promieniem od gwiazdy odjętym
Przyświecasz w drodze.

Anioł przed nimi tę niesie pochodnię,
Do białej lilii zamkniętą kielicha,
A oni święci i boży przechodnie
Modlą się z cicha.

Aż ocknie i jeden, i drugi, i trzeci
Z dumań o Tobie i szeptu pacierzy
I ujrzy lilię, co idzie i świeci
W pustej trzebieży.

I na kolana upadnie i drżące
Ręce ku Tobie podniesie, o Boże,
Coś stworzył gwiazdy i księżyc, i słońce
I złotą zorzę.

I ja tak, Panie, w ciemności tu stoję,
I szukam drogi i patrzę dokoła...
O, ześlij Ty mi Twojego anioła,
Daj światło Twoje!

Jak w kielich lilii, tak zamknij w me serce
Promień Twej gwiazdy, Twych blasków odbicie,
A będę wierny tej Bożej iskierce
Przez całe życie!

IMAGINA

[Fragment]

Z pieśni I

Na co się przyda...

Na co się przyda cała mądrość świata,
Co atrament zalewa ci duszę,
Jeżeli, na kształt znikomego kwiatu,
Serce twe więdnąc w śmiertelnej posusze,
W piersiach się nie rwie, nie drży, nie kołata?
Jeśli spleśniałe Tacyty, Liwiusze
Nawet ci tyle nie dadzą ochłody,
Co kropla rosy, łza lub kropla wody?

Toga i biret i cały rynsztunek
Uczonych mężów – zapewne – nie plewa;
Lecz jakże błądzi ten, kto swój rachunek
Z szczęściem przez dyplom zrównać się spodziewa!
Wszak nim druk nastał, był już – pocałunek,
A przed Nestorem jeszcze żyła – Ewa,
I nim Justynian prawa swoje spisał,
Na piersiach róży motyl się kołysał.

Z pieśni XIV

... Słodki jest owoc natchnienia...

... Słodki jest owoc natchnienia,
Ale lupina jest pełna goryczy.
Z jakim dziwnym trudem myśl w ciało się zmienia,
Bój sama z sobą wiodąc tajemniczy.
To ci jak gwiazda piękna wschodzi z cienia,
To znów przypada jak ogień zwodniczy,
A kiedy w mózgu tak pęka jest raca,
Jaki to ból jest, a jaka to praca!

A potem nie sądź, oktawy że lecą
Jak stadko białych nad dachem gołębi,
Gdy się pod słońce trzepocą i świecą,
Strząsając rosę, co pióra im ziębi.
Sfolguj jej tylko i uzdy puść nieco,
A to ci strofa tak nagle się zdębi,
Żeś jeszcze „Jezus Maria!” nie powiedział,
Już będziesz w błocie lub na piasku siedział.

Lecz, że ma swoje powaby, nie przeczę,
Jest jakaś pełność w niej, jakaś swoboda,
Sa cięcia ostre i jasne jak miecze,
A czasem, gdy ci się pod rękę poda,
To jako strzała z łuku ci uciecze.
Nikt tu nie ujmie nic i nic nie doda,
A rym ostatni leży na niej dumnie,
Jako kapitel na jońskiej kolumnie.

Za formą idzie duch – jeżeli idzie
On także ma tu rozwiązane pióra,
A choć go czasem, srogi Arystydzie,
Twa nieskalność potępia ponura,
Bywa tak piękny w tym swoim bezwstydzie,
W tym obnażeniu swoim in natura,
Że, mimo wszystko, kocham tego ducha,
Co żywej pieśni płomieniem wybucha.

ZIEMIO TY NASZA!...

Ziemia ty nasza! Cóż nam się stało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym cię ojcem nazwał – jeszcze mało...
I choćby matką, jeszcze mi nie stanie,
Boś ty jest wszystko! I dusza i ciało
I ród i życie – wszystko w twoim mianie!
Że kto przerzecz cię, jakoby siebie
Zbogacił skarbem na ziemi i w niebie.

Gdyś jest, a co mi? Powietrze mnie samo
Nosi, by ptaka nad gniazdem usłanem,
Jak król, słoneczną odziewam się lamą,
W polu, na łące, w kuźni – jestem panem!
Lecz gdy cię braknie, kiedy czarną bramą
Wyszedłem z ciebie, staję się łachmanem,
Poniewieranym wśród ludzkiego roja,
Ze pyta lada kiep: – Gdzie ziemia twoja? –

I w bok się zeprze, i gęby napuszy,
Iż sam się czuje, jak w domu u matki.
A ty się wtedy dźierz twardo swej duszy
I serca w sobie podpalaj ostatki,
A choć ci oko łza żrąca zaproszy,
Nie dbaj, łba podnieś, bo też cię do szmatki
Nikto nie zwiąże! Zdzierż górnice psubrata,
Rzekąc: – A gdzieżby? W samym środku świata!

Chcesz mierzaj! Nie chcesz? Wolna przed się droga!
Gdzieżeś ją mniemał być? – Kędyś na stronie?
Na szarym końcu? Za piecem? U proga?
– My spod ogona nie wypadli wronie!
My, Polska, zawsze staliśmy bliżej Boga
W borowych szumach, w pól żytnich pokłonie,
A wy – za nami dopirz – ziemi obce,
Jako do dzisiaj jest widać to w szopce.

Na trzychkrólowy czas! Przy żłóbku Pana
Nie ujrzysz Niemca tam ani Francuza,
Jeno Macieja, Kubę, Stacha, Jana,
Albo Balcera w czerwieni, jak tuza!
Któż ochfiarował Dzieciątka barana?
Kto na ligawce grał mu, jak nie luza
Nasza pastusza, co w pieśni i wszędzie
Pierwsza jest! O czym więc stoi w kołodzie.

Może tam i wy macie przywileje
Swoje i swoje obrachunki z niebem.
Alić to powiem, że do nas się śmieje
Chrystus, gdzie idzie polem albo żlebem
Górskim, abo więc przez borowe knieje,
Bo mu tam wszystko pachnie kwieciem, chlebem,
Miodem, żywicą, i wszystko mu miłe:
Lud, sady, łąki i chaty pochyłe.

Prawda jest, sypnął złota na te kraje
I morze rozlał od nieba do ziemi,
Alić uśmiechu jego tu nie staje,
Nie chodzi on tu nocami cichemi...
Jako pan sługom – płaci wam. Nam – daje
Jak ojciec dzieciom, rękoma własnymi.
Pomnijcie, prawda, ale że z miłości
Nie z łaski, to wam Polak nie zazdrości.

Wy kraje swoje macie, jak kopalnie,
Dopóki jasna świeci wam z nich ruda,
Póty się sami dmiecie tryumfalnie;
Jak nie – obcego napędzacie luda...
My do ziem naszych bierzemy się mszalnie,
Krzyżem znaczone jest wiosenna gruda,
A zaś wychodzi spod tej chłopskiej ręki
Przypodniesiona, jak kielich ów męki.

WEZWANIE

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
W poranek róż majowy;
Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
Bo ci na drogę padnie cień
Mej cichej, smętnej głowy...

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
W jesienne mroczne rano;
Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
Niech blade niebo skryje nas
W swą płachtę, z mgły utkaną.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
W jutrzenne życia zorze;
Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
Gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
A ust pucharem – morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Gdy rosa pada chłodna;
Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Kiedy się życia wytli moc,
A serce wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wśród dum,
W rozmyślań wielką ciszę;
Ale przyjdź do mnie wśród dum,
Gdzie czarnych sosen szmer i szum
Mogilę mą kołysze...

WIEM, ŻE W OKIENKU...

Wiem, że w okienku twoim nie zobaczę
Zapalonego światła twoją ręką...
Wiem, że daleko drży kędyś i płacze
Echo, zbudzone twą smętną piosenką...
Wiem, że na cichą i białą tę ścianę
I cień twój nawet nie padnie ulotny...
A przecież wznoszę oczy zadumane,
Gdzie dom twój stoi pusty i samotny.

CAPRI

Capri? Widziałam. Świat tam wykuty ze skały.
Brzeg dziki, poszarpany, samotny i pusty.
Półnagi, skrawym szmatem przewiązany chusty,
Rybak z powrotu Careny ogień pali mały.

Trzeszczą kolczaste suchych aloesów chrusty,
Gruby liść żarem tleje, jak papyrus biały,
Na którym dawne wieki ze wstrętem spisały
Tyberiuszowej krwawy pamiętnik rozpusty.

Siądź w łodzi, przy ognisku, na sieci tych pęku,
Nad ciszą modrej toni niż czoło na rękę
I słuchaj, co ci prawi rybak drżący, stary...

Tyberiusz?... Augustus?... Nie, on o nich nie wie!
Lecz patrząc mrocznym okiem w gasnące zarzewie,
Głód i nędzę swą skarży... To jego cezary!

MARE MORTO

A więc rozlej się za mną, morze zapomnienia...

A więc opłyn mnie wkoło wodami cichymi...
Niechaj nikt nigdy w żadnym zakątku tej ziemi
nie szuka okiem mego znikomego cienia!

A więc niech wygaszona będę do imienia!
A kiedy pieśń ostatnia lutnię mą oniemi,
Niech uleczą jej echa z szumami twojemi
Tam, pod sine, gwiazd pełne mdlejących sklepienia.

Wulkan gorzał, gdzie dzisiaj fala twoja bije...
Morze łez gasi wszystko, co płonie, co żyje...
Ciszy chcę! Do wiecznego tęskno mi spocznienia.

W ogrom twego żywiołu, w roztocze te mgliste
Oddaję ducha, bracie rybołów, Chryste!...
A ty się rozlej za mną, morze zapomnienia!

NA JEZIORZE

*W*oda – taka cicha

Jak sen...

Wiatr – lekuchno wzdycha

Jak sen...

Łódka – tak ucieka

Jak sen...

Myśl – taka daleka

Jak sen...

JEST W PIERSI MOJEJ...

*J*est w piersi mojej cichy grób,
Żaden go kwiat nie stroi
I żaden tam nie leży trup
W śmiertelnej swej ostoi...

Nie dzwoni nad nim dzwonów spiż,
Nie ciężą ziemi bryły;
Nie sterczy kamień ani krzyż
U cichej tej mogiły...

Tylko w nią zapadł promień ten,
Co złościł moje życie...
Tylko w niej leży cichy mój sen
I ufne serca bicie!

JEŻELI KOCHASZ...

*J*eżeli kochasz, nie wołaj mnie z sobą!
Pomiędzy nami jest przepaść głęboka,
Co nas rozdziela swych cieniów żalobą
Na wieki!
Próżno oczyma poglądasz smutnemi
I próżno drogie wyciągasz ramiona...
Ty będziesz dla mnie tak zawsze na ziemi
Daleki!
Od ciebie do mnie, ode mnie do ciebie
Wolno przelatać promieniom księżycy,
Co w zmirzchnie lutnie całuje na niebie
Lazury...
I szumom lasów i ciszy pieszczotom,
Pieśń słowiczych wyznaniom namiętnym
I pełnym pragnień wiecznym tęsknotom
Natury.
Ale my sami tak trwajmy, bez słowa,
Bez łzy, bez skargi, jak cienie dwa blade...
Ból nasz niech tylko milczenia wymowa
Tłumaczy.
Rozkosz?... Czy myślisz, że chwile zachwytu
Duch twój – sam sobie, obojgu nam – życie,
A twym porywom konieczność przesyty
Przebaczy?
My tak zostaniemy na długo, na zawsze!
Płonące usta śmierć niechaj ochłodzi...
Mnie szczęście inne, pełniejsze, jaskrawsze
Przeraża.
Żadnych uniesień i żadnych wybuchów!
Mojemu sercu daj spalić się w ciszy,
U beznadziejnych pożądań wszechduchów
Ołtarza...
My nie z tych, co by umieli róż kwiatem
Zarzucić przepaść, dzielącą dwie dole,
I przejść królewskim rozkoszy szkarłatem
Głębinię...
Ja wiem, że jeśli zawołasz mnie w ciszy
Imieniem, które na ustach ci płonie,
Dusza cię moja stęskniona usłyszy
I zginę!
I to, co miało mi źródłem być mocy,
Będzie omdleniem potęgi istnienia...

Co byłem światłem, to stanie się nocy
 Żałobą...
O patrz! ta przepaść tak pełna jest trwogi...
 Dusza się moja wrywa do ciebie...
Jeśli więc kochasz, nie wołaj mnie, drogi,
 Ze sobą!

PRELUDIUM

Nie kocham jeszcze, a już mi jest drogi;
Nie kocham jeszcze, a już drzę i płonę
I duszę pełną o niego mam trwogi
I myśli moje już tam, w jego progi
Lecą stęsknione...
I ponad dachem jego się trzepocą
Miesięczną nocą...

Nie kocham jeszcze, a ranki już moje
O snach mych dziwnie wstają zadumane;
Już chodzą za mną jakieś niepokoje,
Już czegoś pragnę i czegoś się boję
W nocie nie spane...
I już na ustach ślad noszę płomienia
Jego imienia...

Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,
Że nam gdzieś lecieć, rozplynać się trzeba
W jakieś czarowne dziedziny i kraje...
Już mi się marzą słowicze wyraje
Do tego nieba,
Które gdzieś czeka, aż nas ukołysze
W błękitną ciszę.

LISTY

II

Nie było dla nas godziny ni chwili,
W której by serce do serca gadało.
Jeśliśmy kiedyś ze sobą mówili,
Tak obojętnie i zimno i mało
I tak, jak mówią na drożnej krawędzi
Przelotne ptaki, gdy wicher je pędzi.

Ale w powietrzu, z którego twe usta
Brały swój oddech, zostało się drzenie...
I już ta przestrzeń nie była mi pusta,
Bo w niej utkwilo to nasze milczenie
I niosły się w niej, jako kwietne puchy,
Nie wymówionych słów dźwięki i duchy.

Dziś w tej muzyce zasłuchana stoję
Na wpół radośnie, a na wpół boleśnie...
Znam każdy ton jej, lecz złożyć się boję
Z tonów tych strofy, akordy i pieśni.
Lecz gdy się w sobie ukoję, uciszę,
Strofy te czuję i pieśni te słyszę.

Tak harfa, stojąc w samotnej ustroni
Z pełnymi struny miłosnej tęsknoty,
Nagle się sama wśród ciszy rozzwoni
I wyda z siebie głos i akord złoty.
A choć jej promień nie trąci miesiąca,
Srebrnymi szmery jest cała drgająca.

III

Ty i wieczór letni, cichy,
W jeden mi się zwiewa cień...
Piją rosę róż kielichy,
Co omdlały w skwarny dzień.

W długiej, mrocznej gdzieś alei
Widzę z dala drogi cień...
Piją rosę róż kielichy,
Co omdlały w skwarny dzień.

Ramię twoje mnie otacza,
 Jak kotara, spada cień...
Piją rosę róż kielichy,
 Co omdlały w skwarny dzień.

Ust twych chwytam płomień cichy:
 Tysiąc gwiazd rozbłyska w cień...
Pija rosę róż kielichy,
 Co omdlały w skwarny dzień.

V

Nie znam ruchliwszej fali,
 Niż oczy twoje,
Ni ognia, co tak pali,
 Jak usta twoje.

Ani gorętszej ciszy,
 Niż szept twoje,
Ni burzy, co tak dyszy
 Jak łono twoje.

Nie znam lotniejszej strzały,
 Niż myśli twoje,
Ni liści, co by drżały,
 Jak serce twoje.

Nie znam tak ostrych mieczy,
 Jak słowa twoje,
Ani smutniejszej rzeczy
 Nad życie twoje.

VIII

I mówię: odejdz! – i wracam się cicha,
 By spojrzeć jeszcze na stóp twoich ślady,
I słucham wiatru, co w dali gdzieś wzdycha,
 I na kwiat patrzę więdnący i blady,
Na jeden z kwiatów tych, co mają duszę –
 I nie wiem, co mi jest – i płakać muszę.

I mówię: zostań! – i sama odchodzę,
 I drżąca idę w ciemności przed siebie.
I czuję ciernie kolące tej drodze
 I słyszę dzwony na serca pogrzebie
I widzę czarne snów ludzkich mogiły –
 I nie wiem, co mi – i iść nie mam siły.

Dwie różne drogi – a jedna tęsknota,
Dwie różne drogi – a jedno cierpienie,
Na jednej zorza zagasa mi złota,
Na drugą schodzi noc i smutków cienie...
I późna chwila jest – i rosa pada,
I nie wiem, gdzie mi iść – i stoję blada...

IX

Czy pomnisz, jak wskroś złotych zórz
Siedliśmy w łódkę, niemi,
Nadto bzów woni mając już,
I nadto mając ziemi...

A łodzią nie chwiał żaden ruch,
U brzegów senna stała;
A wodą szedł już nocy duch
I mgła wionęła biała...

A serce we mnie ścichło tak,
Jak tonie te mdlejące;
A dusza moja – biały ptak –
Zwinęła piór swych końce...

I bezcielesnych marzeń rój
Obleciał nas dokoła...
I ochłódł życia war i znój
I zbladły nasze czoła...

Aż nagle jedno z twoich drgnień
Zburzyło tę pogodę...
Na twarz mi buchnął żar i cień,
A wiatr zmaćił wodę...

X

Dam ci tę gwiazdę, co w oczy nam świeci
W wieczornej ciszy...
Dam ci tę świeżość, co z łąk ku nam leci
I wonią dyszy...
Dam ci tę białość, co różom owiewa
Schylone czoła,
Dam ci te szumy, którymi się drzewa
Modlą dokoła...
Dam ci przezrocza wiosennych dni zmierzchu
Widne w oddali,

Dam ci ros czasę, kipiącą od wierzchu
 Błaskiem opali...
Dam ci tęsknotę, co wznosi uśpione
 Ziemi tej łono,
I duszę moją dam ci, tak jak one –
 Nie pochwyconą.

XI

W wielkiej i pustej nawie –
 Myślę o tobie...
W wielkiej i pustej nawie
 Rzuca się blask jaskrawie
Przez szyb gotyckich barwne tła
 I na kamiennych taflach drga...
– Myślę o tobie.

W łukach mrok drzemie szary –
 Myślę o tobie...
W łukach mrok drzemie szary –
 Westchnieniem drżą filary...
Cisza – co w sobie ma krzyk i jęk –
 Ból życia, cierpki grobu lęk...
– Myślę o tobie.

XII

Tak mi się zda, że to bajka,
 Że wskroś złudnych mar i snów
Widzę postać tego grajka
 I wiosenny wieczór ów...

Zadumani, pochyleni,
 Ja i ty, jak jeden duch,
Nie istnieliśmy w przestrzeni,
 Ciałem był nam tylko słuch...

Pieśń objęła nas dokoła,
 Niby przypływ morskich fal...
Jedne skrzydła nas anioła
 W bezmiar niosły, w modrą dal...

Przecież czuję do dziś jeszcze
 Dłoni twoich chłód i żar;
Dotąd idą po mnie dreszcze,
 Dotąd mnie twój więzi czar...

I wiem, że w tej pieśni dźwięku
 Była rozkosz, miłość, szal...
Że w niej drżało echo jęku
 Naszych dusz – i naszych ciał.

XIV

W miłości nie ma zdrady:
 Jest tylko wieczny ruch.
Siew życia i zagłady,
 Jak chce, tak rzuca – duch.

Jeśli milczenie ma starczyć za słowa,
 Wierz mi, najwyżej piękności hymn śpiewa
Noc nasza, cicha, letnia, księżycowa,
 Co przez rozkwitłe przesrebrza się drzewa.

I jeśli piękność ma starczyć za słowa,
 Wierz mi, że pieśnią ogromną w swej mocy
Jest podniesiona ku niebu twa głowa,
 Gdy patrzysz, milcząc, w oblicze tej nocy.

I jeśli miłość ma starczyć za słowa,
 Wierz mi, modlitwą ku tobie w tę ciszę
Bije mej duszy gorąca wymowa,
 Kiedy to piszę.

W WERONIE

Do ołtarza miłości pielgrzymuję cicha,
Płomień niosąc na ustach, a w sercu tęsknotę;
Na drogę moją słońce rzuca róże złote,
W młodocianych winnicach przelotny wiatr wzdycha:
–O Giulia!...

Z daleka idę. Brzozy te białe, co stoją
I płaczą w kraju moim, szeptały o tobie,
A słowik, co dziś śpiewa tu, na twoim grobie,
Namiętne pieśni rzucał w bezsenną noc moją,
–O Giulia!...

Drogę do ciebie serca wskazało mi drzenie
I szmery pocałunków w powietrzu uśpionem
I róża ta, co płonie rozchylonym łonem,
I od skrzydeł głębokich padające cienie,
–O Giulia!...

Więc tutaj, jak zraniony ptak, tęsknymi loty
Dążyłam, by o kamień oprzeć senną głowę
I śnić wonie jaśminów, noce księżycowe
I czuć dreszcze i żary tajemnej pieśczoły,
–O Giulia!...

Lecz błagam, chciej przebaczyć samotnej pątnicy,
Że zamiast kwiecica, zamiast weselnego pienia
Do grobu twego niosę zadumę milczenia
I czoło pochylone i żar łez w źrenicy...
–O Giulia!...

NON DOLET

Nie, to nie boli wyrzec się nadziei
I o jedyne o szczęściu marzenia
I wszystkie listki obrywać z kolei
Z tej róży, która jest kwiatem z płomienia,
I poza siebie rzucać je powoli...
Nie, to nie boli!

Za każdym krokiem, za każdym czuć ruchem
Pęta, co dłonie skuwają łańcuchem,
I iść swą drogą z posepnym tym zgrzytem,
Słyszeć go nocą i słyszeć go świtem
I czekać śmierci, co z niego wyzwoli...
Nie, to nie boli!

Nie, to nie boli bronić się pieścizocie
Snów owych złotych, co nad głowę lecą,
I ducha wiecznej poślubić tęsknocie
I być jak ognie, co po trumnach świecą,
I jako kwiecie na cmentarnej roli...
Nie, to nie boli!

Budzić się co dnia o porannej zorzy
Z myślą, że dzień ten przejdzie bezsłonecznie,
A kiedy pierś się pragnieniem otworzy,
Mówić: „Zapomnij” – i „Milcz” mówić wiecznie
I w drżącym sercu czuć zawsze szpon woli...
Nie, to nie boli!

Nie, to nie boli wyciągnąć ramiona
W cichość i w ciemność i czuć, jak w tej ciszy
Krzyk wołający imię twoje kona
I jak w niej druga pierś tęsknotą dyszy,
I wiedzieć, że nic nie zmieni tej doli...
Nie, to nie boli!

WOLNY NAJMITA

Wąską ścieżyną, co wije się wstęgą
Między półkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takim urągliwym!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywym.

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki spod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie ciąży na świecie –
Kosa ta chyba, co zwiśla z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! – Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kłać z zgrzytem tłumionej rozpacz,
Może oszaleć i płakać, i śpiewać –
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosa
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosa
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce – niechaj żyje, a chce – niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

WARSZAWA

Warszawo, Warszawo, ty czerwieny grodzie!

Obrano cię niegdyś królową w narodzie.
Nie obrano ciebie dla twojej urody,
Jeno dla tej Wisły, dla tej Białej Wody...
Jeno dla tej starej mazowieckiej ziemi,
Co cię kołysała szumami leśnemi...

Kołysała ciebie, do snu ci śpiewała:
„Rośnij ty mi, grodzie, wysoko jak skała...
Wysoko jak skała, co w nią biją fale,
Na brzeg rzucające skrwawione korale...
Rośnij mi do słońca, daleko za chmury,
Kędy orły lecą srebrzystymi pióry...”

Wiatr się górą niesie, po gałęziach chodzi,
Zorza, co dziś zgasła, znowu rankiem wschodzi...
Na polanie stoi stary dąb pochyły,
Co wyrósł przed wieki z Piastowej mogiły...
Na polanie stoi, drobnym liściem chwieje,
W szumach opowiada twoje dawne dzieje.

Hej, nie było tobie jasnej gwiazdy w niebie
Ani jasnej doli nie było dla ciebie!
Na granicie Wawel – na piasku Warszawa,
Nad tą modrą Wisłą świeci tęcza krwawa.
Nad tą modrą Wisłą jaskółki latają,
Gubią w wodzie piórka – że gniazda nie mają!

Ziemi, matko stara, mazowiecka niwo,
Bądźże miastu twemu chlebem swym życzliwą!
Dębie ty Piastowy, pieśniarzu żałosny,
Niechże go twe szumy budzą każdej wiosny!
Siłę niechaj bierze z kłosów swojej ziemi...
Serce niechaj karmi pieśniami staremi!

TRZECI MAJ

Stu chorągwi szumami nakryty,
Stu chorągwi z przesławnych pól bitwy,
Biały orzeł wlatuje w błękity
Ponad ziemię i Polski, i Litwy.

Przez wiek cały on dyszał w pomroku,
Przez wiek cały bił skrzydłem o ściany;
Dziś polskiemu zjawiony znów oku,
Srebrzyścieje nad pola, nad łany!

Przed nim słońce wolności się pali,
Co ma kiedyś zabłysnąć nad światem;
Pod nim lance i kosy ze stali,
Powiązane kłosa i kwiatem.

Blask korony od niego uderza...
To nie piorun – to jasných dni zorza!
Świt wielkiego, nowego przymierza,
Świt braterstwa od morza do morza!

To narodu w okowach dziś święto,
Ludu w kaźni i w pętach łańcucha!
Choć nam prawo i wolność odjęto,
Nie zdołano nam odjąć ich ducha.

My zagładzie i nocy oddani,
My bez berła, bez głosu, bez siły,
Tryumf światła święcimy w otchłani,
Tryumf życia – pod głazem mogiły!

Sto lat twardym smagano nas biczem,
Sto lat w dusze wlewano trucizny,
A my trwali i żyli tym zniczem,
Co się zowie miłością ojczyzny.

A my trwali i żyli też chlebem,
Hostią wspomnień i ofiar kielichem,
I pod chmurnym modlili się niebem,
I po haśle wołali się cichem.

Sto lat gnani po śniegach Sybiru,
Tęskną myślą o Polsce my żyli,
I – tułacze – garść ziemi, szmat kiru
Brali na pierś, relikwią nosili.

I zobaczył świat dziw ten nad dziwy,
Który przyszłe stulecia zdumieje:
Naród – trzykroć zabity – a żywy!
Pogrzebany – a w grobie mężnieje!

I zobaczył świat wolność – w niewoli,
I skowronki nad śnieżnych grud polem,
I wschodzący siew życia – na roli
Zagłuszonej śmiertelnym kąkołem.

O ty Polsko, Ojczyzno ty miła,
W katakumbach, w podziemiach żyjąca,
Wieszże, skąd ci to światło, ta siła,
Co przestraczem pierś panów twych trąca?

O, nie z twojej królewskiej purpury,
Rozerwanej na troje dziś w strzępy,
O, nie z kłątwy, rzuconej pod chmury,
Na kraczące u piersi twej sępy!

Całość twoja – to całość jest ducha,
Niepodzielna w wieczystej swej jedni...
Siła twoja – to świt, co wybucha
Z twego krzyża, nim świt się rozedni!

Twój fundament, twój zrąb i opoka
Tkwi w najgłębszej powołań twych treści.
Tyś nosiła koronę proroka,
Ty dziś nosisz koronę boleści!

Bo prorokiem tyś była przed wiekiem
I Chrzcicielem pomiędzy narody,
Kiedyś chłopca uznała człowiekiem
I te kmiece uczciła zagrody.

Boś prorokiem ty była dni onych,
Głosząc prawo dla chłopskiej siermięgi
I wpisując twych synów skrzywdzonych
Do dziedzicznej wolności twych księgi.

Odetchnęły tve sioła i grody
Tchem szerokim przed ziemią i niebem;
Błysnął ranek majowy pogody,
Brat się z bratem przełamał praw chlebem.

Rozegrzmiły imieniem twym łany,
Zapały i serca, i lice,
A lud polski, twym synem nazwany,
Dał ci Grochów i dał Raławice!

Hojnie życiem ci płacąc i kosą
To uczczenie warsztatu i chaty,
Gołą ręką i stopą brał bosą
Wymierzone w pierś twoją armaty!

O, ty Polsko, Ojczyzno ty miła!
Tyś się w lasach i w zbożach po rosie
Prostym sercom i oczom jawiła
Na miesięcznej, na chłopskiej tej kosie.

Kiedy szabla już w rękę omdlała,
Kiedy szczerbców nie dźwigiły już karły,
Tyś nam błysła znów jedna i cała,
Gdy cię kosy krakowskie podparły!

Lecz nad ziemią zmrożoną i zgasłą
Nadto rano twój śpiewał skowronek...
Nadto wcześniej rozbrzmiało twe hasło,
Nadto blasków w mrok rzucił twój dzionek!

Mogły cierpieć więdnącą cię wrogi,
Mogły patrzeć na twoje zaćmienie;
Lecz twój rozkwit obudził ich trwogi,
Lecz twe światło zbudziło ich drzenie.

Gdy ujrzeli wolności wschód złoty,
Faryzeje, królowie i skryby
Krzyż ci dali troistej Golgoty,
Dali taczki i knuty, i dyby.

Do twych piersi ściągnęli swe pięści,
By ci serce to wyrwać bijące,
I podarli twą szatę na części,
Twoją szatę – twe ziemie kwitnące.

Ale w owej zbratania się chwili
Tkwił duch, wiecznie i żywy, i młody...
Jego cud to, iżśmy przeżyli
Te katorgi, kajdany i lody!

Jego cud to i potęga,
 Że nam weszła tych wielkich dni zorza,
Co rozblaskiem mrok życia przysięga,
 Rzuca tęczę – od morza do morza!

Jego cud to, że w całej ziemi,
 Co się zwała przez wieki Piastową.
Nie ma jednej dziś suchej źrenicy,
 Na Ojczyzny zakłęcie i słowo...

O, ty orle, ty orle nasz biały,
 Na dalekie leć niwy i pola,
Mów tym sercom, o we łzach omdlały,
 Że się kończy wiekowa niedola!

CREDO

Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobycze,
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki.
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białym od promieni
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy.
Wierzę, że dawne błędy żelaznym łańcuchem
Ciężą nad późnych wieków i wolą, i ruchem.
Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową;
Wierzę, że sprawiedliwość zstąpi nam królową...
Wierzę w ciszę i w spokój po gromach i burzy;
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem, się nie nuży...
Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
W największej własnych uczuć i porywów wojnie.
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;
Wierzę w nieskończoności jasne ideały,
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez dzieje,
Wielkie wspólne ognisko ludzkości roztleje.
Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi,
Kędy się krzepią duchy wodami żywymi,
Kędy niskie zabiegi milkną przed obliczem
Wiekuiestej ustawy z berłem tajemniczem...
Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą,
Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą...
Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości,
Do potężnych idei prawa i równości...
Wierzę, że błędnych komet blask zagasa z wolna,
Wierzę, że ludzkość wiecznie ludzić się nie zdolna,
Lecz nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona,
Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.
Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę,
Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte...
Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary.
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi...
I „niechaj mi się stanie podług wiary mojej”!

*DLA
DZIECI*

STEFEK BURCZYMUCHA

O większego trudno zucha,
 Jak był Stefek Burczymucha...
– Ja nikogo się nie boję!
 Choćby niedźwiedź... do dostoję!
Wilki?... Ja ich całą zgraję
 Pozabijam i pokraję!
Te hieny, te lamparty
 To są dla mnie czyste żarty!
A pantery i tygrysy
 Na sztyk wezmę u swej spisy!
Lew!... Cóż lew jest?! – Kociak duży!
 Naczytałem się podróży!
I znam tego jegomości,
 Co zły tylko, kiedy pości.
Szakał, wilk?... Straszna nowina!
 To jest tylko większa psina!...
(Brysia mijam zaś z daleka,
 Bo nie lubię, gdy ktoś szczeka!)
Komu zechcę, to dam radę!
 Zaraz na ocean jadę
I nie będę Stefkiem chyba,
 Jak nie chwycę wieloryba! –

I tak przez dzień boży cały
 Zuch nasz trąbi swe pochwały.

Aż raz usnął gdzieś na sianie...
 Wtem się budzi niespodzianie.
Patrzy, a tu jakieś zwierzę
 Do śniadania mu się bierze.
Jak nie zerwie się na nogi,
 Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi! –
Pędzi jakby chart ze smyczy...
 – Tygrys, tato! Tygrys! – krzyczy.
– Tygrys?... – ojciec się zapyta.
 – Ach, lew może!... Miał kopyta
Straszne! Trzy czy cztery nogi,
 Paszczę taką! Przy tym rogi...
– Gdzież to było?
 – Tam na sianie.
Właśnie porwał mi śniadanie...

 Idzie ojciec, służba cała,
Patrzą... a tu myszka mała,
 Polna myszka siedzi sobie
I ząbkami serek skrobie!...

CO SŁONKO WIDZIAŁO

Cały dzionek słonko
Po niebie chodziło;
Czego nie widziało!
Na co nie patrzyło!
Widziało nasz domek,
Jak się budzi rankiem,
Jak Magda na pole
Niesie mleko dzbankiem...
Jak Wojtek wyciąga
Ze studni żurawia,
Jak się mały Janek
Z Wiernusiem zabawia...
Widziało, jak owczarz
Pędzi owce siwe,
Jak Antek karemu
Rozczesuje grzywę...
Widziało gołąbki,
Jak na dach nasz lecą
I trzepią w skrzydelka,
I pod zorzę świecą.
Widziało jak Zosia
Z kluczykami chodzi,
Jak liżnie śmietany,
Choć się to nie godzi...
Widziało, jak Kuba
Pługiem w polu orze,
Jak wołki pogania;
Żeby było zboże...
Widziało pod lasem,
Jak się pasą krowy,
Jak tam pokrzykuje
Nasz ciołeczek płowy...
Widziało, jak Kasia
Biały ser ogrzewa,
Jak Stach konie poi,
A gwizdże, a śpiewa...
Widziało, jak wszyscy
Po pracy zasiedli
I z misy głębokiej
Łyżkami barszcz jedli.

SOBÓTKA

Świętojański wieczór –
Uciecha dla dziatwy;
Zapaliły już ogniska
Te flisacze tratwy.
Idzie płomień w górę,
Sobótka się pali,
Sypie iskry szczerozłote
Po tej modrej fali.
A ten stary flisak
Poprawia ognisko;
Pal się, pal się, ty sobótko,
Bo Warszawa blisko!
Sobótko, sobótko,
Nocy świętojańska,
Widać ciebie od Warszawy
Do samego Gdańska!

JASKÓLECZKA

Jaskólecza do nas wraca
Z oddalonej drogi.
Śpiewem wita wioskę miłą,
Miłej chaty progi.
Przez trzy morza, przez trzy góry
Światem przeleciała,
Przecież drogie gniazdko swoje
Od razu poznała.
Jakże poznać go nie miała,
Nie trafić do niego,
Kiedy je tu serca nasze
Całą zimę strzegą?
Jakże poznać go nie miała,
Nie spieszyć z powrotem,
Kiedy je tu słońko nasze
Malowało złotem?
Słońko złotem malowało,
A jutrzienka różą,
A te snopy strzechy naszej
Chroniły przed burzą...
Jaskóleczo, drogie ptaszę,
Bądź nam powitana!
Budźże ze snu wioskę naszą
Piosenką od rana.
A ty, kotku, ty psotniku,
Nie czyńże jej szkody,
Niech swobodna z pieśnią buja
Nad pola, nad wody!
Jaskólecza do nas leci
Z wesołą nowiną,
Już niedługo śliczne kwiaty
Z pąków się rozwiną.
Już niedługo brzoza biała
Gałązki rozchwieje,
A ten czarny, pusty ugór
Zbożem zarunieje.
Jaskólecza w niebo leci
Wysoko, daleko,
Wie zawczasu, kiedy rzeki
Do morza pocieką.
Wie zawczasu, kiedy strumyk
Brzezi swe zakwieci,
Wypatruje złotą zorzę,

Czy w okienko świeci.
Jaskółeczka promień słońca
Na skrzydełku nosi,
O tę rosę, o tę jasną,
Srebrnej chmurki prosi.
Srebrna chmurko, złota chmurko,
Rozpłyńże się w rosę,
Posyp dziatkom perły swoje
Pod te nóżki bose.
Posypże im perły swoje
Na te jasne głowy,
Niechaj rosną jako kwiaty
Wśród naszej dąbrowy!

JAK TO ZE LNEM BYŁO

Był raz król taki, co miał wielkie królestwo, wszelkiego dobra i bogactwa pełne, tylko że w nim złota nie było.

Pola tam były wielkie, sady śliczne, od grusz, od jabłoni czerwieniejącej z dala, po lasach zwierzyny huk, w ziemi żelaza dość, na powietrzu ptactwo takie, że co jedno odleci, to drugie przyleci, bydła, koni, owiec stada okrutne, nieprzerachowane, po rzekach ryby jakie tylko i małe, i duże, kwiecień też po łąkach mnóstwo dla królewiatek małych, co jedno przekwitnie, to drugie zakwita. Ot, wszelkiej rozkoszy moc wielka! Miasta też były w tym królestwie znaczne i wojska duże po zamkach, po wieżach mocnych, i ludu po wsiach dość. Ale król niczym się nie cieszył, tylko ciągle markotny był, że złota nie ma w jego państwie.

– Cóż mi po tym zbożu – mówił – albo i po tych lasach, i po tych rybach w rzece, i po tych stadach wielkich, kiedy ja to wszystko muszę het precz wywozić do moich sąsiadów za złoto, bo go u mnie nie ma. Żeby tu u mnie złoto było, cały lud mój by się ubogacił.

Lud jego biedny po wsiach skórąmi się odziewał i koszuli na grzbiecie nie miał, a dopieroż sami bogacze z miasta musieli w dalekie kraje posyłać po materię drogą, po jedwabie na ubiory swoje.

– Byłem tylko złoto miał – mówił król – to mi już niczego nie braknie i memu ludowi.

Tak wyszedł raz sobie na drogę i chodzi w zamyśleniu wielkim, a drogą kupcy jadą.

Jak też zobaczyli króla, tak zaraz mu pokłon oddali, towary rozwiązują i pytają, czy czego nie trzeba.

Król pokłon przyjął grzecznie, towary obejrzał, głową pokręcił i mówi:

– Na nic mi te wasze towary, bo mi tylko jednej rzeczy potrzeba.

Więc zaraz się dopytywać zaczęli, czego.

– Potrzeba mi złota – mówi król – żeby u mnie w ziemi było, żeby je dobywać mógł i cały lud mój zbogacił, i siebie.

Zafrasowali się kupcy, bo tej woli królewskiej nie mogli uczynić, i zamilkli.

A był między nimi staruszek jeden, jako ten gołąb siwiutki, z brodą po pas, w bieli cały odziany i bardzo mądry. Ten, widząc frasunek swoich towarzyszy i króla, pragnącego złota dla ubogiego narodu, co koszuli na grzbiecie nie ma, pomyślał, wystąpił naprzód i rzekł:

– Królu, panie! Mam-ci ja takie siemię w mieszkaniu, co jak je wiosną posieją w polu, to złoto ci z niego się urodzi.

I zdjął ze swego wielbłąda troki, i wyjął z nich spory mieszek, i przed królem postawiwszy, rozwiązał.

Król bardzo się zadziwił, że takie ziarno na świecie jest, co z niego złoto wyrasta. Onemu kupcowi sygnet piękny dał i choć ten mieszek był ciężki, sam go do zamku swego poniósł.

Nazajutrz dał wiedzieć w całym państwie, jako w ten a w ten dzień król sam będzie w polu takie ziarno siał, co z niego wyrośnie złoto.

Zadziwował się naród cały na taką nowinę, zbiegli się wszyscy na ono pole patrzeć, jak też to cudowne ziarno wygląda. Matki prowadziły dzieci, synowie – ojców starych i zesła się ludu wielka, wielka moc.

Aż król wyjechał na siwych koniu w bisior drogi ubranym, z muzyką, z trębaczami i z dworem całym, a za nim sam skarbnik królewski mieszek z ziarnem niósł pod baldachimem z karmazynu, co go czterech pachołków królewskich trzymało. Kiedy wszyscy na skraju pola stanęli, król koronę z głowy zdjął, że to niby prosty siewacz na swej roli staje, i wzięwszy od skarbnika mieszek wzdłuż bruzdy pięknie wyciągniętej poszedł, czerpiąc z mieszka ręką ono

ziarno cudowne i rzucając je w świeżo zaoraną, czarną, pulchną ziemię. A tu zaraz za królem brony szły, co je najpierwsi panowie w onym królestwie prowadzili i ten posiew bronowali, jak zwykle żyto albo i pszenicę, albo msze jakie ziarno. Kiedy już pole zasiane było i zabronowane, król koronę znów na głowę włożył i wrócił z wielką paradą na zamek swój, z dworzanami swymi i z muzyką, i z trębami, i z wielką uciechą, że takie pole złota zasianego ma. Minął dzionek, minął drugi, król ciągle z okna w ono pole ogląda, czy złoto nie rośnie, ale nic.

Aż jednego dnia uderzył deszcz ciepły z nieba i słońko po nim przygrzało. Patrzy król, a tu na calusieńkim polu cośi jakby ze ziemi na wierzch się parło. Uradował się bardzo.

– Oho! – mówi. – Nie zazna teraz mój naród biedy, jak mi się to złoto urodzi. Pole nie takie zasieję na przyszłą wiosnę, ale dziesięć razy większe.

I chodzi sobie wesół po komnatach, pieśni sobie śpiewać każe, sztuki różne pokazywać – taki rad.

– Nie będę – mówi – patrzeć choć z tydzień w pole, aż zażółknieje złoto, żeby oczy moje uciechę miały.

Przeszedł tydzień. Patrzy król, a tu zamiast żółtego złota na calusieńkim polu śliczna zieloność, jakoby murawa, tak żdźbło przy żdźble weszło i do słońca w górę idzie. Zadziwił się bardzo w sobie i mówi:

– Myślałem, że od razu żółte złoto rość będzie, a tu zieleń taka.

Ale nic... czeka.

Czekał tydzień, czekał dwa, powyrastały łodyżki równiutkie jedna przy drugiej, jak to wojsko wielkie. Już się i pączki pozwijają, już i ku kwitnieniu się ma. A co kto przejdzie, to się dziwuje, że to złoto tak rośnie, jakby jakie zwyczajne ziele. Dworacy kręcą głowami, cośi szepcą, cośi między sobą radzą. Król patrzy, twarz pogodną zrobił i mówi:

– Nic to! Pewno się w kwitnieniu ono złoto okaże złotym kwiatem.

Jednego ranka pojrzy, aż tu pole jak długie i szerokie niebieszczy się tak, jak to niebo nad ziemią. Kwiatusek koło kwiatuszka na łodyżce sterczy, aż się w oczach modro od tego robi, jakby w wodę patrzył.

Zadziwił się król, wąsa szarpnął, iż tak złoto ono modro kwitnie, cały dzień frasobliwie po komnatach chodził, wieczery jeść nie mógł i markotny spać się układał. Aż rankiem uderzył się w czoło i mówi:

– O, ja głupi! Wszakże to nie kwiat, ale nasienie będzie samo złoto! Czegożem się wczoraj frasował?

I począł dobrej myśli być, i ucztę panom swoim sprawił, i radowali się wszyscy, że król tak mądrze im to wyłożył o nasieniu owym, co złotem być miało – i tak wszyscy cieszyli się społem.

Przeszło lato, z kwiatuszków owych modrych porosły główeczki, takie okrągłuskie. Król idzie w pole, bierze w palce, ogląda i myśli:

„Już też w tych główeczkach na pewno złoto jest; tylko patrzeć, jak się to posypie”.

Rozgniółł jedną, patrzy, aż tu takie samo siemię, jak to, które siał. Rozgniewał się król bardzo, dwór cały zwołał, kazał to zielsko z całego pola wyrwać, kijami zbić, że to mu takiego wstydu i zawodu narobiło, i do wody cisnąć. Pachołkowie rozkazanie królewskie wypełnili, łodyżki, co do jednej wyrwali, kijami zbili, aż się ono nieszczęsne ziarno posypało, w pęki powiązali i do wody wrzucili. Ale że to już ich samych złość wzięła, więc jeszcze w wodę kamieniami ciskali i tyle tego narzucali, że się one łodygi w pękach zastanowiły, z wodą nie poszły i u brzegu przywalone kamieniami zostały.

Król tymczasem po całym świecie szukać słał onego kupca, żeby go stracić za ten postępek, że to takiego monarchę poważyl się oszukać.

Tak szukają tego kupca, tak szukają – nic!

Król też znów smutny zaczął bywać, jako i na początku, i nieraz sam bez dworu w zamysłach różnych chodził, trapiąc się, że ludu swego nie mógł zubożyć. Idzie on raz brzegiem rzeki, patrzy – kamieni wielka moc, a spod nich cości sterczy. Zawołał pachółka, w wodę mu kazał iść i czeka. Niedługo pachółek wraca i powiada:

– Królu, panie! Toć to jest ono zielsko, co miało złoto rodzić i z pola wyrwane zostało.

A król:

– Jeszcze mi na oczach będzie to podłe zielsko leżeć? Mój wstyd przypominać? Weź mi je zaraz i wynieś precz, żebym go więcej nie spotkał.

Ano, poszedł pachółek po drugiego, one kamienie odrzucili, pęki łodyg przegniłych z wody wydobyli, wynieśli je het, pod las, cisnęli i poszli.

Kupca szukali tymczasem precz po całym świecie, wedle królewskiego przykazu.

Król ciągle się frasował, to tu, to tam jeździł po kraju, a co spojrzy na ten biedny naród, co koszuli na grzbiecie nie ma, to się omal łzami nie zaleje; takie litościwe serce miał.

Ano, widzą panowie, że król taki smutny, tak rada w radę uradzili, żeby wyprawić wielkie polowanie.

Zjechali się różni książęta, różni panowie, różni dostojni goście, nasprawdzali psów, koni, masztalerzów, psiarków, łuczników, naprzywozili łuków i różnej broni takiej, że to ha! Różnych rarogów, dojeżdżaczy, sokolników: polowanie takie, że to na całe królestwo sławne.

Ucieszył się król tym widokiem, rozweselił, o strapieniu swoim coś niecoś zapomniał, bronie różne czyścić kazał, sfory ogarów sforować, charty na smycze brać, konie kulbaczyć, wozy pod zwierzynę zaprzęgać, aż uderzyli trębacze w rogi łosiowe, psiarnie zaczęły ujadać, bicze ino świstały w powietrzu; tu się sokoły na całe gardło dra, tu pisk, krzyk, wrzawa taka, że to jak na największym jarmarku. Aż siadł sam król na konia, po bokach mu książęta i wielcy panowie; pojechali.

Jadą, jadą, przyjechali pod las. Dziwują się goście, że taka knieja gęsta, pewno i zwierza pełna, to się ino psy rwą, ino konie parskają; kiedy wtem spojrzy król w bok jakoś, a tu na polanie leżą one pęki łodyg, przez pachółków z wody dobyte, wyschłe, wymizerowane, szerniałe.

Król zapalił się gniewem na twarzy, humor mu się od razu przemienił, zawraca konia, przeprasza gości i na powrót na zamek jedzie.

Tak się rozgniewał, że ledwo tchnął, łowczemu wracać przykazał z końmi, wozami i psiarnią, a na pachółki swoje krzyknął:

– Hej tam! Zabrać mi to przekłete zielsko i otłuc kijami, żeby aż z niego paździerze poszły.

I z wielką pasją do domu wracał, a z nimi goście jego.

A pachółki tymczasem, one pęki łodyg porwawszy, zaczęli je kijami okładać tak, że aż z nich paździerze leciały. Naleciał tych paździerzy okrutny pokład, a łodygi aż pobielały, jak z nich ta pierwsza surowizna zesła.

Łodygi na rozstaje rzucili, na krzyżową drogę, żeby je słońce paliło, a wiatr po świecie roznosił. Leżały one łodygi, leżały, słońce je paliło, wiatr je poplątał, ale ich roznieść nie mógł, bo za wielką moc tego była. A kupca szukali, precz szukali, tylko znaleźć nie mogli.

A król zapomniał jakoś o swoim strapieniu i wybrał się ze swoim dworem w drogę. Na siwym koniu jechał, a za nim rycerze i dwór, i pachółki, i różna czeladź, zwyczajnie, jak to się należy do królewskiej wspaniałości i osoby.

Jadą, jadą, przyjechali na rozstaje drogi, aż tu koń, co pod królem szedł, dęba stanął. Ściągnął go król raz i drugi, koń szczupakiem chlusnął przez drogę w bok i, zapląawszy nogi, nie wiedząc jak, na ziemię runął.

Uskoczył król, strzemień z nogi zrzuciwszy, ale się okrutnie przeląkł. Zaraz tuż nadbiegli rycerze i słudzy, patrzą, w co się królewski koń wplątał, a to w te łodygi, co je pachółki na rozstaj rzuciły. Król, jak był blady ze strachu, tak się zrobił czerwony od gniewu, czeladź swoja skrzyknął i kazał precz do trzeciej skóry zielsko owo kijami zbić, a potem je w ogniu spalić.

Czeladź zaraz się do kijów porwała, one łodygi do trzeciej skóry obila, tak że samo włókno cienkie i jak srebro takie bielusińkie zostało, i dalej nosić na kupę, żeby spalić.

Patrzył na to wszystko król razem z dworem swoim, aż kiedy czeladź głównie zapalone pod one włókna podkładać miała, przyleciał pacholek i krzyknął:

– Królu, panie! Znaleźliśmy tego kupca, któregoś szukać rozkazał.

A tuż zaraz prowadziły straże onego starca, związanego, przed królewskie oblicze.

Król zmarszczył czoło i tak srogo wejrzał na pojmanego, że cały dwór struchlał i prawie tchnąć nie śmiał. Ale stary ten człowiek wcale się nie przestraszył i sam do króla spokojnie przystąpiwszy, rzekł:

– Kazałeś mnie, królu, szukać jak złoczyńcę po całym królestwie swoim, a otom jest. Sam szedłem do ciebie, dowiedziawszy się, że mnie potrzebujesz, bom wpierw w dalekich drogach bywałem, a tu mnie u bram twego miasta straż pojmała. Rozkaż, aby odstąpili, a iżbym z tobą sam mówił.

Tak mówił ten starzec, ale król bardzo był zagniewany i srogo krzyknął:

– Do ciemnicy cię wtrącę, boś mnie, króla i pana, oszukał, a siemię owo, z którego miało mi się urodzić złoto, wydało tylko zielsko nikczemne, ku spaleniu zdadne! Patrz! Oto cała kupa tego twego złota – dodał biorąc się w boki z wielką pasją.

Starzec popatrzał i rzekł:

– Królu, panie! Kiedy taka wola twoja, abym do ciemnicy szedł, niech mnie do ciemnicy wiodą; ale tych łodyg nie każ ogniem wytracać, tylko je ze mną w loch rzucić daj! A za dwa miesiące usłyszysz co nowego o mnie.

Król zezwolił, a te same godziny starca i całą kupę owych łodyg siwych cisnęli do lochu.

Byłby tam staruszek niechybnie z głodu zginął, ale mu przynosiła jeść córka dozorca, młoda, śliczna i pracowita dziewczyna. Na imię jej było Rózia. Rózia przychodziła co dzień do lochu ze swoją przęślicą, na której przędła jedwab dla bogatej pani, i czekała, aż się staruszek posili. Pewnego dnia namówił ją ów więzień, że zamiast jedwabiu naskubała włókienek z onego zielska, nawinęła na przęślicę i zaczęła prząść. Ze żartów, ot, bo myślała, że z tego nic nie będzie.

Tymczasem patrzy, a tu równiuteńka niteczka snuje jej się a snuje, aż wrzecziono furczy. Zdziwiła się bardzo, a że jej jedwabiu już brakło, zaczęła one włókienka prząść. Kiedy już tego dużo naprzędła, rzekł jej staruszek:

– Idź teraz do domu i tak jak z jedwabiu tkasz, tak i tę przędzę utkaj.

Rózia usłuchała staruszka. Na warsztacie z owej przędzy postaw naciągnęła, potem pięknie w poprzek cewką zasnęła i zrobiła... płótno.

Kiedy to właśnie było gotowe, przyszedł urzędnik królewski patrzyć, czy on stary więzień jeszcze żyje. Zdziwił się, że staruszek taki żwawy, więc powiada do niego:

– Proś, o jaką chcesz łaskę, bo dziś królewska córka za mąż idzie.

Wtedy ów staruszek mówi:

– Dobrze. Chciałbym królownie podarunek weselny dać i dlatego proszę, abym przed króla był stawiony.

Ano, urzędnik wypuścił go z lochu i pod strażą do króla przywiódł.

Spojrzy stary, a tu wielka moc pań i panów, królowna jak lilia, pan młody jak słońce, muzyka gra, kołaczki aż pachną, pacholęta kwiatami drogę ścielą.

Zmarszczył król czoło na starego pojrząwszy; ale że to w takie gody gniewać się nie mógł, więc pyta, z czym tu przychodzi.

– Z podarunkiem dla królowny – mówi staruszek i rozwija przed królem ślicznie utkane płótno, które Różia, nauczona przez niego, wybieliła na rosie i słońcu.

– Cóż to takiego jest? – rzekł król ciekawie.

– Królu, panie! Toć-ci jest owo złoto, które z owego sumienia, com ci je dał, wyrósć miało. Len to był, ubogiego narodu bogactwo, com go z ziemi twojego królestwa dobyć chciał. Kazałeś go topić? Dobrześ uczynił, bo jego łodyżki w wodzie odmięknąć muszą. Kazałeś go z wody precz cisnąć? Dobrześ uczynił, bo go trzeba suszyć. Po moknięciu owym kazałeś go kijami z paździerz obić? Dobrześ uczynił, bo tę złą paździerz obić trzeba z łodygi, żeby ją uprawić. Kazałeś je zaś powtórnie kijami obijać? I toś dobrze uczynił, bo do trzeciej skóry len obić trzeba i kijem go wyłamać, żeby do włókna się dostać. Kazałeś mnie do lochu wrzucić? I toś dobrze uczynił, bo mnie tam żywiła dobra dziewczyna, którą-m oto nauczyl, jak się włókno lniane przędzie i na płótna tka. A toś tylko źle uczynił, żeś to wszystko robił w gniewie i nie z wyrozumienia, ale z zapalczywości. Że to jednak taki dzień szczęśliwy dziś jest w twojej królewskiej rodzinie, więc ci z serca krzywdę moją odpuszczam, a na ręce królowny ten oto dar składam. Królowna niech każe po wsiach len siać i tak go sprawić z rozważą i miłością, jakeś go ty, królu, z gniewem sprawiał, a z płótna niech da koszule dla wszystkich sierot i niemocnych szyć, co jest więcej niż złoto, bo jest poratowanie ubóstwa i niedostatku.

Skończył stary, a król słuchał jeszcze i aż na twarzy ze wstydu się mienił, że tak ukrzywdził niesłusznie człowieka. A zaś potem wstał, starca w ramiona wziął, przeprosił i koło siebie posadziwszy rzekł:

– Dziękuję ci, mój ojczu, żeś mi to uczynił, czego moje niespokojne chęci uczynić nie mogły. Złota chciałem, a tyś mi lepszą rzecz dał, bo w złocie możni tylko by chodzili, a w tym lnem oto cały lud mój ubogi chodzić będzie.

I zaraz dał krajać koszule z płótna onego i sierotom rozdzielić, z czego wielka radość była w całym kraju.

Dobranoc

*D*obranoc, ty wiosko,
Dobranoc, kochana!
Oj, będziesz ty spała
Do nowego rana.
Do nowego rana,
Co wszędzie na niebie,
Kiedy nowa wiosna
Znów obudzi ciebie.
Dobranoc, ty wiosko,
Dobranoc, kochana!
Oj, będziesz ty spała
Do nowego rana!

LALKA MAŁGOSI

- Mamuniu! – wołała Małgosia, biegnąc do pokoju mamy.
– A co chcesz, dziecinko? – zapytała mama.
– Chciałam mamuni powiedzieć, że się już moja lalka nie będzie nazywała Mimi, tylko że będzie się nazywała Urszulka.
– A to dlaczego? – zapytała mama.
– Bo widzi mamunia, ja dziś rano przeczytałam w książeczce, że dawno już temu, ze trzysta lat może albo więcej, żył Jan Kochanowski, który pisał różne wiersze i że ten Kochanowski miał małą córeczkę, której było na imię Urszulka.
– No i cóż dalej? – zapytała znów mama.
– Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie on z tą córeczką mieszkał...
– W Czarnolesiu – rzekła mama. – Nazywano go też Janem z Czarnolesia.
– Tak, tak! w Czarnolesiu! Więc tam była taka wielka stara lipa, pod którą Kochanowski siadał i różne wiersze pisał, a przy nim bawiła się Urszulka. Ale nie bawiła się tak jak inne dzieci, nie przeszkadzała ojcu, nie hałasowała, tylko sobie kwiateczki zbierała i śpiewała piękne piosenki. A tych piosenek to jej nikt nie uczył, sama już z siebie tak umiała śpiewać jak ten słowiczek w maju. A włoszki miała jakby złote i chodziła w „letniczku pisanym”, to znaczy w takiej pstrej sukience leciuchnej. Raz miał przyjechać do Czarnolasu wielki wojownik...
– Hetman – poprawiła mama – Jan Zamoyski.
– Tak, mamuniu, Jan Zamoyski, więc Urszulka nazbierała prześlicznych kwiatków i tak sobie śpiewała:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.

I to ona tak sama z siebie śpiewała, proszę mamuniu, różne inne pioseneczki jak ptaszek jaki.

- No i przyjechał ten rycerz? – zapytała mama.
– A jakże, przyjechał! Z bardzo wielkim dworem i bardzo wspaniale przyjechał, a na nim wszystko aż błyszczało od złota, od srebra...
– A przywiózł też z sobą dzieci?
– Nie, mamuniu! Ten Jan Zamoyski nie miał dzieci i bardzo się tym smucił. Więc kiedy się bawił z Urszulką i zapytał ją, czy się jej podoba jego pas złoty i jego ubiory, wtedy Urszulka tak mu powiedziała:

Pięknie, strojnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dalbyś wszystko za to.

- I cóż na to Zamoyski?
– A nic! Ucałował Urszulkę i aż mu łzy w oczach stanęły.
– A mamę miała też ta Urszulka?

– A jakże, mamuniu, miała! Kluczyki za nią nosiła, w gospodarstwie jej pomagała, gości nadobnie witała, a kiedy ojciec wracał z jakiej drogi, to zawsze wybiegała naprzeciw niego wpierv jeszcze niż starsze dzieci i obejmowała go rączkami za szyję i cieszyła się jego powrotem.

– No i cóż się dalej stało?

– Ach, moja mamusiu! Bardzo się źle stało, bo ta Urszulka umarła. Ach, żeby mamusia wiedziała, jak jej wszyscy w domu żalowali, to strach! A najbardziej ojciec. Jak siadł pod swoją lipą, to tylko wzdychał i pisał śliczne pieśni o swojej córeczce. Te pieśni nazywały się... nazywały...

– Treny – odpowiedziała matka.

– Tak, mamuniu, treny. Ja czytałam, że te treny to najpiękniejsze pieśni ze wszystkich, jakie napisał Jan Kochanowski. A kiedy się tak smucił, śni mu się raz, że mu jego matka przyniosła Urszulkę na rękę, bo Urszulka taka była jeszcze mała, że ją można było na rękę nosić, i że widzi swoją córeczkę tak śliczną i wesołą jak nigdy jeszcze. Ucieszył się bardzo, a tu mu matka jego tak mówi: „Nie smuć się, miły Janie, bo twoja Urszuleczka żyje”.

– Tak jest – rzekła mama. – Żyje i żyć powinna w pamięci wszystkich polskich dzieci.

– Więc ja, proszę mamusi, chcę, żeby się moja lalka nazywała teraz Urszulka, i uszyję jej taki „letniczek pisany” i „paseczki złocone”, żeby do niej była podobna.

– A czy nie lepiej byłoby, Małgosiu, żebyś ty sama starała się być podobną do niej? Żebyś była tak jak ona miłą ojcu i matce, miłą służbie i rodzeństwu, cichą, słodką i według sił pomoc wszystkim niosącą? Wszakże wszystkie dziewczynki polskie są jakby siostry Urszulki. Czemuż do niej podobne być nie mają?

Zamyśliła się Małgosia i rzekła:

– No, to dobrze! Ja będę się starała być do niej podobna. A mamunia nazwie mnie czasem swoją Urszulką?

Mama uściskała Małgosię. Ciekawa rzecz, jak też Małgosia dotrzyma swojej obietnicy?

CO KURTA ROBIŁ W PODWÓRKU?

Pan Kurta miał w podwórku niemało roboty; za dużo nawet jak na psa o trzech tylko nogach, bo czwartą już dawno postradał w jakiejś wojennej przeprawie.

Zaledwie z rana, pan Pietuch Pietusiński, czerwony kogut z drugiego podwórka, krzyknął mu przez płot: „Dzień dobry, sąsiedzie!” – zrywał się zaraz Kurta, biegł do sionki i łapą we drzwi skrobał, póki gospodyni po wodę z wiadrem nie wyszła. Skakał wtedy koło niej pan Kurta wesoło, bo wiedział, że ta woda to na barszcz, na śniadanie, i że jak się gospodarze najedzą, to mu też resztkę dadzą.

Ale do tego śniadania to jeszcze daleko. Gospodyni wodę do chaty wniosła, skopek wypłukała, wzięła stołek i poszła do obórki krowę doić. Pan Kurta wie, że tam niepotrzebny, mógłby jeszcze mleko wylać. Nie idzie więc do obórki, tylko się uwija koło gospodarza, który kosę na progu chaty klepie i wybiera się kosić łąkę. Słonko weszło pogodnie, rosa aż pachnie z pola, skowronki w powietrzu dzwonią jak te dzwoneczki boże.

Gospodarz rad z takiego złotego dzionka, tylko sobie pogwizduje, a pan Kurta ogonem macha i także się raduje, choć sam nie wie czego.

– Pamiętaj, Kurta – mówi gospodarz – żebyś mi tu domu pilnował, jak gospodyni poniesie w pole śniadanie albo i obiad. Niech cię Bóg broni, żebyś tu jakiej szkody dopuścił, miałbyś ze mną sprawę!

Pan Kurta wie, że sprawa z gospodarzem nie bardzo bezpieczna dla jego grzbietu, podwinął tylko ogon i łąsi się i naszczekuje z cicha, jakby mówił: „Już tylko wy się nie bójcie, gospodarzu, już tu wszystko będzie dobrze”.

Wyleciały z gniazda jaskółki na świat boży, a z izby wyszedł Maciuś i dalejże do Kurty.

– A mój Kurta! A moje psisko! A cóżes ty w nocy robił?

Tu mój Kurta opowiada jak umie, a wtem już gospodyni od doju wraca. Zaraz też Maciuś krajką się podpasuje, bierze w rękę okrutne biczysko i krówkę na pole wygania. Za krową pędzi cielak zadarłszy ogona. Pan Kurta w skok za nim. Wiadome rzeczy, cielę głupie, w szkodę wpaść może, a i krowa też rada skubnąć, co nie dla niej: rozsądę albo co. Więc Maciuś biczem śmiga, a Kurta zagania to od prawej, to od lewej strony, aż ich wszystko troje szczęśliwie za wrota wyprawił. Okrutnie się przy tym naszczekał i zmęczył, więc wpadł do chaty i siadł sobie na dwóch łapach przed kominem, gdzie gospodyni właśnie gotowała śniadanie. Woda wre, kipi, mój Kurta tylko macha ogonem z uciechy; wtem mała Maryś odecknęła i zapłakała w kołysce. Pan Kurta niezmiernie lubi małą Marysię, zrywa się tedy od komina i sztykut, sztykut, biegnie do kąta, gdzie kołyska stoi, i łeb na nią zakłada, i Marysiną buzię czerwonym językiem liźnie raz i drugi. Jak tylko Maryś Kurtę zobaczyła, zaraz się rozśmiała; a tu już gospodyni barszcz dymiący na miskę wylewa, dwojaki szykuje, jedno dla gospodarza, drugie dla Maciusia; sama też podjadła, do reszty trochę wody dołała i zawołała:

– Na tu, Kurta na!

Pan Kurta nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Bywał on zwykle przy dobrym apetycie, a z rana to mu się zdawało, że byłby zjadł całego wołu, naturalnie, gdyby tak był... wilkiem. Skoczył tedy do misy, łeb w niej zanurzył i chlap, chlap, chlap, chlap; wychlapał wszystko do czysta, a resztę dobrze wylizał. Gospodyni tymczasem małą Marysię nakarmiła, umyła, włoski jej zaczesła, koszulkę czystą włożyła i posadziła ją na piasku przed chałupą.

A tu już kury gdaczą w komórce wypuścić je trzeba; poszła gospodyni do komórki zobaczyć, czy która kokoszka jajka nie zniosła. Zaledwie drzwi otworzyła, wszystkie kury

z okrutnym gdakaniem i trzepotem wyleciały na podwórko, ponad głową, ponad płotem, gdzie! kto je tam dogoni! A mój Kurta za nimi! Kury gdaczą, Kurta szczeka; niby to je zagania, a jeszcze bardziej płoszy, gospodyni krzyczy: – Kurta tu! Kurta na! Do nogi, Kurta! tu!

Wszystko na nic! Jak zaczął gonić jarzębiatą kokoszkę, tak jej wyrwał dwa pióra z ogona i dopiero wtedy się uspokoił zgrzany, zziązany, z wywieszonym językiem.

Więc go gospodyni raz i drugi przez łeb trzepnęła, ale niewiele, bo jej było pilno nieść w pole śniadanie. Wzięła dwojaki, Kurta za nią miłosiernie patrzy, rad by też w pole razem...

Ale gospodyni nogą tupnęła: – A leżeć! – więc się zaraz przy Marysi położył, bo wiedział, że to jego rzecz dziecka pilnować, kiedy starsi w polu.

Skrzypnęła furtka, gospodyni wyszła; Marysia w piasku grzebie się jak ten wróbel, a Kurta muchy łapie, ale nic złapać nie może. Co mu która mucha na nosie usiądzie, to on kłap! pyskiem, a moja mucha już gdzie... daleko...

Aż mu się to sprzykrzyło, więc się wyciągnął i chrapnął sobie. Tak chrapał że nie słyszał nawet, jak Marysia płakać zaczęła. Płacze Marysia, płacze, a tu gospodyni do domu wraca. Usłyszała głos dziecka i z daleka już woła:

– Co ci to, Maryś, co? Cichoj, córeczko, cichoj!

Zerwał się Kurta, jakby nigdy nic, i raduje się a ogonem macha, i w oczy gospodyni patrzy, właśnie jakby mówił: – A to czysta bieda z tymi dziećmi, proszę pani gospodyni! Co się tu tej Marysi i nie nabawiłem, nie naperswadowałem, i to wszystko na nic! Maże się to, maże, sama nie wie czego.

A o tym, że spał przez ten czas, to ani piśnie.

Nakarmiła gospodyni Marysię, uspiła, ugotowała obiad, zjadła, statki pomyła, Kurcie też zacierek z serwatką dała. Mój Kurta, jakby jeszcze nic dziś w pysku nie miał, chlap, chlap! wychlapał i wylizał wszystko do czysta. Przygotowała gospodyni znów dwojaki i niesie obiad w pole, a Kurcie przykazuje: – Pamiętaj, Kurta, żebyś tu chałupy pilnował. Niech ręka boska broni, żeby się tu co miało stać!

Pan Kurta ogonem macha, podskakuje, zupełnie jakby obiecywał, że wszystko będzie dobrze, a kiedy gospodyni na skobelek izbę zamknęła, położył się na progu i warczy.

– Będę warczał – myśli sobie – to jak tu przyjdzie jaki dziad albo kto, to zaraz sobie pomyśli: „To jakieś zjadliwe psisko”, i pójdzie dalej. Warczy więc i nogi pod siebie podkułił, żeby nie było widać, że ma tylko trzy, boby go się może nie bali.

A tu słońko przygrzewa silnie, a drogą, co wóz przejedzie, to kurzawa taka powstaje, że strach. Z dala, z daleka słycać klepanie kos i stukot grabi, i głos Maciusia, jak zawodzi na pastwisku: „Dana, oj dana!”. I tak to wszystko jakoś razem zmorzyło pana Kurte, że warczał coraz ciszej, aż nareszcie westchnął, ogon pod siebie podwinął i znów chrapnął.

Aż tu furtka skrzyp... skrzyp... Wszedł dziadek siwy, żebrzący, z sakwami na plecach i koszturzem w ręce. Wszedł i od furki zaraz się odzywa: „Niech będzie pochwalony!” – a mój Kurta jak nie skoczy, jak się na dziadka nie porwie, jak nie zacznie ujadać : ham! ham! ham! ham! aż ochrypl. A co go najbardziej gniewało, to, że dziadek nic sobie jakoś z tego szczekania nie robi, tylko się z wolna koszturzem opędza, a pacierz sobie mówi. Już głosu z siebie Kurta dobyć nie mógł, tak się zmordował, kiedy gospodyni nareszcie wróciła z pola. Jak zobaczyła dziadka, tak zaraz na Kurtę: – A cicho! a leżeć! do nogi! a nie rusz!

Uspokoił się też Kurta nieco i pod próg leżeć poszedł. Ale co spojrzął na dziada, to się w nim jeszcze gotowało ze złości, i coraz to warknął i zęby pokazał.

Leży sobie mój Kurta i zęby pokazuje, aż tu wieprzak wyrwał się z chlewka. Gospodyni za nim: – A do chlewa! a do chlewa! a ciu!

Zerwał się i Kurta i dalej za wieprkiem; co prawda, nie bardzo mu się chciało tak uganiać, bo się z tym dziadem okrutnie zmordował, ale bał się gospodyni. Mogłaby mu kartofli na wieczór nie dać i dopiero by było !

A gospodyni, jak na złość, woła : – Huź go, Kurta! – niby tego wieprzka, a mój wieprzak w ogród. Kurta za nim, tylko smyrnął przez płot. Zaleciał z prawej strony, wieprzak w lewo; zaleciał z lewej, wieprzak w prawo. Oj, namęczył się niemało, zanim go nareszcie przy pomocy gospodyni z ogrodu wypłoszył i do chlewka zapędził.

Dopał potem do studni i z koryta wody się napił, a potem pod gruszą, co na podwórku rosła, na trawę się rzucił i dyszał, wywiesiwszy język.

Właśnie i słońce zniżyć się poczęło. Od pastwisk, od boru słychać było klaskanie biczów i poryk wracającego bydła, gospodyni nawoływała swoje kokosze na grzędę, wieprzak krząkał przy pełnym korycie, a siwy dym ulatywał z białego komina, bo już się warzyła wieczera.

Słuchał tego i patrzył na to Kurta, bijąc lekko ogonem o ziemię, aż gdy usłyszał Maciusiowe granie na fujarce, skoczył, żeby mu pomóc zapędzić krówkę do obory. A nie tak krówkę, jak cielę, bo krówka zawsze sama do obory szła, a cielęciu to się coraz zachciewało gdzieś biec. Więc Maciuś za nim, za Maciusiem Kurta, a cielę bryka! Byliby tak w kółko do północa biegali; ale że gospodarz nadszedł z kosą na ramieniu i cielęciu drogę zastąpił, więc je już potem łatwo Maciuś do obórki nawrócił.

Gospodarzowi od dziennej roboty na skwarze słonecznym aż koszula do pleców przyłgnęła, a pot mu na czole stał, jakoby rosa. Siadł też ciężko na ławie przed chatą, a koło siebie oparł kosę, błyszczącą jak srebro. Nim gospodyni misę z ziemniakami i z mlekiem kwaśnym wyniosła, poklepał Kurte po łbie, a widząc, że wszystko w porządku, rzekł: – Dobre psisko! Dobre psisko!

Uradował się Kurta z tej pochwały, aż zaskomlał z uciechy, a kiedy wreszcie ogień w izbie zgasł i wszystko się uciszyło, on zasiadł przed progiem i patrzył dokoła, pilnując chaty swoich gospodarzy.

Gwiazdy już weszły i księżyc błysnął, a Kurta przez sen jeszcze poszczekiwał i mruczał, jak na wiernego stróża przystało.

FRANEK

A co tam za hałas?

– To Franek wrzeszczy!

– Cóż mu się stało?

– A nic. Tak, z rozpusty!

– A kto tę szybę wybił?

– To Franek kamieniem cisnął.

– A kot czego tak miauczy?

– Franek go poturbował !

– Cóż to za urwis spod ciemnej gwiazdy! A to bić, a kija nie zdejmować z niego!...

I nic innego nie było słyhać w całej kamienicy o tym Franku, tylko takie mowy.

Tak się ten chłopak wszystkim dał we znaki!

Raz konewkę praczce chwycił, w kot schował. Praczka chodzi, lamentuje, wymyśla, a Franek patrzy i śmieje się jej w żywe oczy.

– Franek – mówi praczka – ty pewno wiesz, gdzie moja konewka !

– Ja? Skąd bym wiedział!

– Boś ją schował!

– Ja ją schował? Widzieliście, jakem ją chował?

I tak się nastawił, jakby mówił najprawdziwszą prawdę.

Praczka do izby, a Franek po konewkę i na drodze ją stawia. Praczka wychodzi, patrzy – jest konewka!

– W imię Ojca i Syna! A toć konewka! A takim naglądała i nie było! Czy tuman jaki, czy co?

A Franek aż się za boki bierze i pokłada od śmiechu.

Innym razem patrzy, wyleguje się pudel panny Gertrudy na okuie od podwórza na dole. A taki tłusty! Muchy mu chodzą po nosie, a on nawet łapą nie ruszy.

Ogromny pieścuch z tego pudła, na samych łakotkach chowany. Frankowi już psota przysłała do głowy: próbuje ręką dostać i w ogon go uszczypnąć, ale za wysoko. Wtem nawija się kot maglarki. Ten kot jest także faworytem i także tak samo prawie tłusty jak pudel panny Gertrudy. Spostrzegłszy kota Franek chwyta go za przednie łapy, buja przez chwilę dla lepszego rozmachu, po czym bęc ! – kotem o pudła.

Naraz powstał wrzask i pisk, że opowiedzieć trudno! Kot był pewny, że to pudel go napadł, bronił się tedy zębami i pazurami. Pudel rozumiał, że to kocia sprawa, a nie mogąc napastnikowi dać rady, wrzeszczał wniebogłosy. Wkrótce ukazały się w oknach właścicielki bijących się ulubieńców. Panna Gertruda chwyciła kota za kark i przyłożyła mu parę klapsów.

– A masz! A masz!...

– Proszę nie bić mego kota! – wołała maglarka. – Proszę go zaraz puścić!

– A, to pani kot?... Dobrze, że wiem! Pieska mego w mieszkaniu moim napadł! Może jest wściekły!

– Co?... Mój kot wściekły? To chyba ten szkaradny pudel pani jest wściekły!

– Mój pudel szkaradny?... Jak pani może tak się o moim Filonku wyrażać?

I zaczęły się wymówki coraz głośniejsze, a Franek aż się tarza ze śmiechu. Taki był ten chłopak złośliwy i psotny!

Na wołowej skórze nie spisałyby wszystkich jego sprawek.

Ojciec, jak ojciec, mało w domu siedział: to wodę nosił, to ulicę zamiatał, to śnieg wygarniał, niewiele mógł wdawać się w te rzeczy. Ale co ta matka przeszła z tym chłopakiem, to strach!

Kochał ją, bo kochał; ale cóż, kiedy jednej chwili nie usiedział spokojnie! Dnia nie było, żeby piekła jakiego nie zrobił. A jak ubranie darł! Nastarczyć mu nie można było. Ledwo mu matczysko uszyło koszulinę albo i kurteczkę, już z niej w tydzień szmaty!

– A czy się też pali na tobie, chłopcze! – wołała matka załamując ręce. – A cóż z ciebie za łachmaniarz, że tak drzesz ten przyodziewek? Czy ty myślisz, że ojcu, matce z nieba kapie? To ty nie wiesz, że ciężko, że każdy grosz trudny, że dobrze się trza napracować, nim się co kupi? Gdzieżeś to tak rozdarł ten rękaw?

– Mamuniu złocista, ja sam nie wiem! Tak się oto rozdarło...

– Nie wiesz? Ty nie wiesz?... A kto po drzewach łązi, jak nie ty? Patrzcie, ludzie! Koszula taka jeszcze dobra, co z rękawami porobił! Aj, chłopaku, chłopaku! Gdzie ty sumienie masz?... A toć ty nas ze wszystkim zmarnujesz!

– Mamuchno złota, ja się już poprawię!

– Poprawisz ty się, wisusie, poprawisz! Z pieca na łeb! Już ja znam twoją poprawę! Co dzień obiecujesz, a zawsze to samo!

I prawda! Co się ten chłopak nie nacałował matki, co się nie naobiecował, że już będzie lepszy – wszystko na nic. Ledwo przez próg przejdzie już mu w głowie nowa psota, nowa awantura. Ojciec może by temu i dał rady, bo miał porządny pasek rzemienny, co nim opasywał kozuch. Ale matczysko nie skarżyło się nigdy. Jeden tylko był, więc jak mogła, tak zabiegała. Połata, wypierze, wyburczy, no i tak szło, a poprawy żadnej nie było.

Ale i jej było coraz trudniej i tylko ręce załamywała myśląc, co z tego chłopaka będzie? Kuma i sąsiadka, Pawłowa, nieraz z nią o tym radziła.

– Moja kumo złota! – mawiała stróżka. – Co z mego urwisa wyrośnie, to ja nie wiem!

A kuma na pociechę:

– Co ma być, szubienicznik, i tyle!

Aż raz umarła w tej kamienicy uboga wyrobница, wdowa – i zostawiła sierotkę, małego Karolka, co jeszcze roku nie miał. Złożyli się ludzie na trumnę, na pogrzeb, bo tam grosza u tej wdowy ze świecą by nie znalazł, pochowali; ale kiedy przyszło o sierocie radzić, co z nim począć, każdy westchnął tylko.

– Ja sama czworo mam! – mówiła jedna z kobiet.

– U nas też bieda aż piszczy! – mówiła druga.

– Żeby tak większy, tobym wzięła – mówiła trzecia. – Posłużyłby, zakołysałby mego Jaśka. Ale cóż! Toż to i piastować by jeszcze trzeba!

Więc kiedy tak stoją i radzą, Franek matkę w rękę całuje i prosi:

– Mamuchno złota! Weźmy tego Karolka!

– Co ci w głowie?... Ja na ciebie, ty urwisic, nastarczyć nie mogę, a będę jeszcze obce brała?...

Ale Franek nie ustawał molestować matki:

– Mamuchno złota! Mamuchno jedyna! On taki biedny! Taki mały! Tak tam piszczy jak ten wróbelek!

Matka broniła się, jak mogła.

– Daj mi ty spokój i z twoim Karolkiem! Dość ja z tobą jedynym mam biedy!

Franek się wyprostował zablęśły mu oczy.

– Mamo! – zawołał bijąc się kułakiem w podartą kamizelczynę. – Słowo honoru mamie daję, że jak mama Karolka weźmie, to ja się poprawię. No, już ja mamie powiadam! Ma mama moje słowo! Jak ja się nie poprawię – tom kiep!

Jeszcze się w piersi bił, kiedy wszedł ojciec i postawiwszy w kącie miotłę rzekł:

– A wiesz, matka, że ja bym tego tam bąka, tę sierotę ze suterny, wziął...
A Franek buch ojcu do nóg.
– Tatuńciu złocisty! Tatuńciu serdeczny, jedyny!...
– A tobie co, chłopaku? – pyta ojciec.
Ale Franka w stajni już nie było. Ale Franka już w stancji nie było. Jak iskra prysnął do suterenu, dzieciaka na ręce porwał i przyniósł.
Od tego dnia trudno było poznać, co się z Frankiem stało. Jeszcze szaro, on już się zrywa patrząc, czy Karolek okryty, a jeżeli śpi, to czy mu nie zimno. Da matka śniadanie albo obiad, to go nie tknie sam, póki nie nakarmi Karolka. To myje chłopaczkę, to go czesze, to go piastuje, huśta, piosneczki mu śpiewa, to go chodzić uczy, to siądzie z nim sobie pod słońce aa progu i opowiada mu Bóg wie co, to mu latawca z deszczułek i papieru klei...
Matka aż w głowę zachodzi.
– Moja kumo! – mówi do sąsiadki. – Ten chłopak, to jakby mi go kto przemienił, taki teraz spokojny, taki dobry!
A kuma:
– Ej! Nie dowierzać! Nic dowierzać! Niedługo to tego będzie!
A nieprawda! Czas mijał, a Franek jakby nie ten, jakby go miodem smarował, taki posiuszy, taki uległy, taki cichy.
Dziwią się wszyscy w ciomu, aż głowami kręcą.
Nikt już szyb po sieniach nie wybija, nikt nie dudo piętami po schodach, konewkę gdzie postawiły, tam dostoi. Aż miło! Kot z pudlem nawet już się nie biją. A matka tylko ręce składa, a Bogu dziękuje.
Nawet koszule Franek przestat drzeć; a kiedy mu matka nowe sprawić chciała:
– I... nie, mamuchao! – mówi. – Jeszcze mi te stare wyłatajcie! A te nowe to niechby już na Karolka szły. Z mojej jednej dwie by miał.
Sam się też czesał, mył, matczyne stare trzewiki, co mu je dała, porządnie sobie na nogach wiązał, złego słowa nikt od niego nie usłyszał.
– A czy cię też Pan Jezus natchnął z tym sieroty! – mówiła matka do męża. – Ten nasz chłopak to się tak ze wszystkim odmienił, taki się akuratny zrobił, że to daleko szukać takiego!
– Dusza, nie chłopak! – mówiły o nim kobiety z podwórka.
Już nawet nikt go „stróżakiem” nie nazywał. Wszyscy mu grzecznie mówili: Franuś, Franeczek!
Tak było ciągle.
Aż raz, w pół roku może, siedzi ojciec przed kominem i fajkę pali, a Franek... puc go w rękę!
– Cóż tam nowego? – pyta stróż.
– Ja bym tatuńcia prosił, żeby mnie na książkę uczyć kazał, tobym potem, jak będę mądry, Karolka też uczyć mógł!
Zabłyły na to ojcu łzy w oku i matka prędko twarz fartuchem otarła, a nazajutrz Franek, uspiwszy swego wychowańca, zasiadł nad... elementarzem.
Ciekawa rzecz, jak mu też to pójdzie!...

O JANKU WĘDROWNICZKU

KARTKA WSTĘPNA

O to tu przed wami stoi
 Podróżniczek, Janek mały,
Co się wprawdzie boćka boi,
 Lecz jest zresztą bardzo śmiały!
Zuch ten dziwne miał przygody,
 O których tu będzie mowa;
Raz to nawet wpadł do wody...
 Ale teraz sza... ni słowa!...
Kto tu przy mnie grzecznie siędzie,
 Nosek czysty, uszki w górę,
Ten o wszystkim wiedzieć będzie,
 Pozna całą awanturę!
Od okładki do okładki
 Nic, tylko o Janku mowa:
Gdzie, co, jakie miał przypadki –
 Ale teraz sza... ni słowa!

JANEK WYBIERA SIĘ W DROGĘ

„O, jak ślicznie tam daleko.
Pod tym lasem, nad tą rzeką!
Jak się słonko w wodzie złoci!
Co tam w łąkach jest stokroci,
Co tam zboża, co tam chat,
Jak szeroki, piękny świat!”
Tak w pogodny letni ranek
Dumał sobie mały Janek,
Wystawiwszy główkę płową
Aż za furtkę ogrodową,
Gdzie w oddali widać het
Wstęgę rzeki, wzgórza grzbiet.
Naraz krzyknie: „Wiem, co zrobię!
Chleba w torbę wezmę sobie,
Ani mamie, ani komu
Nic nie powiem w całym domu
I daleko pójdę w świat,
Bom nie baba, ale chwata!”

SPOTKANIE Z BOĆKIEM

O, jak miło! O, jak błogo
W śliczny ranek iść tak drogą!
Lecą ptaszki i świergocą:
„Gdzie to, Janku? Gdzie to? Po co?”
Janek podparł się pod boki:
„Idę – mów – w świat szeroki”.
Po pióreczku mu rzuciły:
„Jdź z Bogiem, Janku miły!”
Tak wesoło i bez szkody
Zaszedł Janek aż do wody.
A wtem widzi, stojąc sobie:
Bocian trzyma rybkę w dziobie,
Na czerwonej wsparty nodze!
Zadziwił się Janek srodze,
Główką kręci i powiada :
„To jegomość rybki jada?
A tom ja nie wiedział o tem !”
Otwarł bocian dziób z klekotem...
Aż tu nagle zwinna, chybka,
Plusk do wody moja rybka!
Janek rozśmiał się serdecznie:
„Tak to ładnie? Tak to grzecznie?
Masz tu dosyć żabek w błocie.
Po co łowisz w rzece płocie?
Bądź zdrow, boćku! Nie mam czasu!
Widzisz, idę tam, do lasu!
Lecz gdy tędy wracać będę,
Przyjdę znowu na gawędę !”

ZA KASINYM PŁOTEM

Śmiało Janek naprzód rusza
 Między trawy, między zboże,
Ale gdy w nie wszedł, nieboże,
 Tylko czubek kapelusza
Miga się na obie strony
 Nihw wielki mak czerwony.
Nie traci nasz Janek miny,
 Choć go jęczmień kłuł wąsaty,
Aż się dobił do drożyny
 Do Kasinej prosto chaty.
I za płotem co się dzieje?
 Kury gdaczą, kogut pieje.
Spojrzy Janek – płot był niski –
 Kasia twaróg zjada z miski
I po trosze go oddziela
 Dla kogutka przyjaciela;
Na co kaczka wraz z kokoszą
 Srogi lament w niebo wznoszą.
„Tak wrzaskliwa ta hołota!”
 Patrzy Kasia... Jaś u płota.
„Gdzie to panicz tak wędruje,
 Trawkę z rosy wydeptuje?”
Janek ujął się pod boki :
 „Idę sobie w świat szeroki,
Tylko nie wiem. gdzie tu droga?”
 Na to Kasia: „O dlaboga!
W świat?... To het tam, gdzie za borem,
 Słonko idzie spać wieczorem,
A różaną mu pościelą
 Złote zorze na noc ścielą !
Niechże panicz idzie miedzą,
 To pastuszki dopowiedzą!”

DARY I PRZEMOWA PANI MARCINOWEJ

*E*j, ty drogo, wiejska drogo,
Nie obłąkasz ty nikogo,
Lecz kwietnymi wiesz ślady
 Między chaty, między sady,
Tam, gdzie pani Marcinowa
 Najpiękniejsze jabłka chowa
Razem z marchwią na straganie!
 Kto ma grosik, ten dostanie.
Janek nie miał nic w kieszeni,
 Więc się tylko zarumieni...
A wtem pani Marcinowa
 Te do niego rzecze słowa:
„Co tak panicz biega samy
 I bez taty, i bez mamy?”
Janek się za uszkiem skrobie:
 „Bo to ja w świat idę sobie!”...
„W imię Ojca, Syna, Ducha!
 Czy ja słyszę, czym też głucha?
W świat?... Taki ci dzieciuch mały,
 Żeby wróble go zdziobały?...
Widzieliście wy pajaca?...
 Niech się panicz zaraz wraca!
Ot, na drogę trzy jabłuszka,
 A do tego piękna gruszka!”
Wtem gołąbki: „Grrochu! Grrochu!
 Wracaj zaraz, ty pieszczochu!”
Janek wrócić obiecuje.
 Zdjął kapelusz i dziękuje.

OWIECZKI

Niedaleko ponad rzeką –
Na wsi wszystko niedaleko –
Spotkał mały nasz wędrowiec
Pasące się stadko owiec.
Z siwą wełną owca stara,
Dwóch baranków śliczna para
I jagniątko co niebożę
Jeszcze samo stać nie może!
Owce pasła Zośka mała,
Co już dawno Janka знаła,
Więc przemówi: „Jeśli łaska.
Niech baranki Jaś pogłaska!
Niech się wcale Jaś nie boi!
To jest Burek, co tu stoi”.
„A nie gryzie, jak przyjść blisko?”
„Ej, nie! To jest dobre psisko!”
„A owieczka nie uciecze?”
„Nie, łaskawa!” – Zośka rzecze.
„Baż!... Baziuchna! – woła Janek. –
Przyjdźże kiedy choć na ganek,
To jagniątku narwę trawki
I pokażę ci zabawki!”

DO MŁYNA

Wśród topoli, spoza wzgórza
Dach kościółka się wynurza,
Przy nim wiatrak na wyścigi
Z wiatrem kręci cztery śmigi,
A młynarczyk Wojtuś jedzie
Na osielku tuż na przedzie.
Wojtuś grzeczny był chłopczyzna;
Zszedł na ziemię i zaprasza:
„Paniczyku, wstąp do młyna!
Ze skwarkami będzie kasza!”
Jankowi się śmieją oczy;
Do osielka żwawo skoczy.
Wojtuś rzecze: „Ja podsadzę
I panicza poprowadzę...
Dalej! Śmiało! Hop! Do góry!”
„A nie zrzuci mnie pan Bury?”
Janek głaszcze kłapoucha,
Piętkami się trzyma brzucha.
„Lepszy osieł do podróży
Niżli koń, bo koń za duży!”

„GDYBYM MIAŁ PIÓRKA”

*J*uż słoneczko na pół nieba,
Już i pora do obiadu:
Z Jankowego w torbie chleba
Dawno nie ma ani śladu;
Chłopcu tęskno do mamusi!
Wtem go nowy widok skusi:
Na urwistej stromej górze
Kwitną dzwonki, dzikie róże.
Macierzanka się rozściela,
Pełno kwiecica, pełno ziela,
Jak to w letniej bywa dobie.
„Bukiet dla mamusi zrobię!” –
Woła Janek i w zapale
Po omszonej pnie się skale.
Wejść – to nic, lecz zejść – to sztuka!
Darmo Janek ścieżki szuka,
Wszędzie stromo, wszędzie ślisko,
Ot, zwyczajnie, jak urwisko!
Już i płakać zaczął nieco,
A wtem patrzy, ptaszki lecą.
„Oj, gdybym miał piórka wasze,
Oj, gdybym miał skrzydła ptasze!
Tobym latał pod obłoki,
Jak świat długi i szeroki!”
Na to ptaszki: „Skakaj śmiało!”
Hop!... I jakoś się udało!

SPOTKANIE Z FILUSIEM

„Ej, czy to nie Filuś czasem? –
Mówi Janek, kręcąc bródką. –
Co tam szczeka tak pod lasem,
Przed dróżnika siedząc budką?
Filuś! Filuś! Pójdź tu, psisko!”
Biegnie pudel, już jest blisko,
I ogonkiem rażno kręci
Na przyjazny znak pamięci.
Filuś umiał różne sztuki
(Dróżnik łożył na nauki),
Więc figielki wnet zaczyna.
A ucieszny był to psina! –
„Wiesz co? Bawmy się w żołnierze!” –
Woła Janek, gałąź bierze,
A pudlowi drugą daje,
Na dwóch łapach Filuś staje.
„Stój!... Formuj się!... Broń do nogi!
Oczy w lewo!... Uszy w prawo!...
Marsz!”... Zajęci tą zabawą,
Maszerują kawał drogi.

NA ŁODZI

Wtem na biedę swą spotyka
Janek chłopców od dróżnika.
Stach i Pietrek to mi chwaty!
Na grzbiecinie dziury, łaty,
W kapeluszu, z gołą głową,
Deszcz czy słońca, wszystko zdrowo!
Wyrwawszy się ojcu z budki
Powsiadali, ot, do łódki
I na Janka już z daleka
Krzyczą: „Siadać!... Okręt czeka!”
„Gdzie płyniecie?” „A na morze!
Święty Boże nie pomoże!”
Skoczył Janek; nie ma wiosła...
Sama woda łódź poniosła.
Patrzą chłopcy zachwyceni,
Jak się w wodzie rybka mieni,
Jak skrzekami żwawo pluska,
To się w słońcu świeci łuska,
To się skrzy jak modra pęga...
Janek chciwie rączką sięga,
Gdy wtem... nagle się przechyli
I... chlup w wodę w jednej chwili!
Główka na dół, nóżki w górę.
Macieź teraz awanturę!
„Gwałtu! Rety!” – krzyczą dzieci,
Aż brat starszy, Józiek, leci,
Co na brzegu siedział z wędką,
I wyciągnął Janka prędko.
Co tam było krzyku, wrzasku.
W włoskach szlamu, w buzi piasku,
Na wołowej skórze o tym
Pisać by mi piórkiem złotym!

U DRÓŹNIKA W CHACIE

*J*ak mysz mokry, jak chrzan krzywy
Idzie Janek nieszczęśliwy
Do dróżnika bliskiej chaty.
A z nim Józiek i dwa chwaty.
Kłaśnie w ręce dróżnikowa:
„A niech cię Pan Jezus chowa!
Toś się spluskał, paniczyku.
Aż do kości, aż do szpiku!”
Jankowi się buzia trzęsie,
Jasna łezka drży na rzęsie,
Chciałby mówić, lecz niebożę
W ząbki szczęka i nie może.
Gospodyni odzież ściąga
I zawiesza ją u drąga.
„Daj no, Antoś, kamizelę.
Co ją nosisz na niedzielę!
A ty Maryś, zgrzej ziemniaki,
Kiedy trafił się gość taki!”
Wysuszyli, wyczesali.
Ziemniaków mu miskę dali:
Janek wiele się nie pyta,
Kraje nożem, je, i kwita!
Tak zajęty tą potrawą,
Że nóż w lewo, grabki w prawo.
Rozweselił się za stołem.
Obsiadły go dzieci kołem:
Siedziałyby do wieczora,
Na panicza patrząc z dwora.
Ale matka rzecze: „Dzieci!
Czas nie stoi, tylko leci.
A my próżno tu gadamy
Gdzież paniczyk?” – „Ja do mamy!”
„No, to nie trza tracić czasu!”
„My z paniczem aż do lasu –
Krzykną dzieci – pójdziem radzi!”
Poszli. Niech ich Bóg prowadzi!

W LESIE

*J*akże w lesie iść ścieżyną,
 Jakże patrzeć prostej dróżki,
Gdy za kwiatkiem, za maliną
 Ciagną w gęstwę same nóżki?
Tu poziomka, tam sasanek,
 Tu wiewiórka, tam motylek:
Nie minęło kilka chwilek
 I zabłąkał się nasz Janek!
Co tu robić? Strach! Dokoła
 Coś tam szepce, wzdycha, woła...
Coraz ciemniej w leśnej głuszy,
 Coraz trwoźniej w Janka duszy.
Po gałęziach się łopocą
 Sowy, co to widzą nocą,
W wielkiej dziupli puchacz siedzi,
 Żółtym okiem Janka śledzi,
A nietoperz skrzydłem bije.
 Janek w strachu, ledwie żyje,
Jak młot serce mu kołacze.
 Idzie lasem, idzie, płacze.
„Mamo! – woła. – Mamo!...” Ale
 Nikt go tu nie słyszy wcale.
Aż, zmęczony, padł pod sosną,
 Gdzie przeróżne grzyby rosną,
I z ciężkiego zasnął płaczu.
 Śpijże z Bogiem, mój tułaczu!
A tymczasem w domu trwoga:
 „Gdzie to Janek? O, dlaboga!”
Szukają go wierni słudzy,
 Jedni w domu, w polu drudzy,
Patrzają nawet i w studziencie...
 Załamuje mama ręce.
Ale Azor (zmyślne psisko!)
 Nos przy ziemi trzyma blisko
I nie tracąc wiele czasu
 Tropem bieży aż do lasu,
Gdzie pocziwe, dobre zwierzę
 Znalazł Janka; siadł i strzeże.

POWRÓT

*J*ak wesołe przebudzenie!

Janek oczom swym nie wierzy.

Znikły strachy, znikły cienie,

A tuż przy nim Azor leży!

Skoczy chłopiec: „Moje psisko!”

Objął wyżła, łeb mu gładzi.

Azor idzie przed nim blisko

I do domu wprost prowadzi.

O, jak miło! O, jak błogo

Ujrzyć znów zagrodę drogą

I swój domek ukochany,

I te stare, lube ściany !

W zachodowych zórz jasności

Widzi mama miłych gości

I wyciąga ręce z ganku.

„Janku – woła – drogi Janku!

Gdzieś ty chodził? Gdzieś był, dziecię?”

„A w szerokim, mammo, świecie!”

I w objęcia mamie pada,

I swą podróż opowiada:

Co miał przygód, co miał strachu,

Jak gdzie było tam!...

A z dachu

Gołąbeczki to słyszały

I mnie wszystko powiedziały!...

Spis treści

Przedmowa	3
WIERSZE	
1. Pieśń o domu	7
2. Przygrywka	8
3. Jaskółka	10
4. Fragment (Skarżycie się na wiek...)	13
5. Tęsknota	14
6. Z dni smutku (fragment)	17
7. Bądź silnym!	18
8. Nadzieja	20
9. Urywek	22
10. Contra spem spero	23
11. Z szopką	25
12. Jak motyl drżący	27
13. Pójdę ja, pójdę	28
14. A żebyś ty, jasne słońko... ..	29
15. A czemuż wy, chłodne rosy.	30
16. A kto ciebie, ty wierzbinie, wychował?	31
17. Świecą gwiazdy, świecą.. ..	32
18. Rozbłysły oczy moje	33
19. Kołysz mi się, kołysz.. ..	34
20. Nie mogę mówić.	35
21. O wy, co cierpieć umiecie... ..	37
22. Wieczór już... ..	38
23. Tam, w moim kraju.	39
24. A jak poszedł król na wojnę... ..	40
25. Na obczyźnie	41
26. W Wielki Piątek	42
27. Poeta do demona	44
28. Kubek	45
29. Lirnikowi na via Montebello	46
30. Na śniegu	48
31. W kamieniu polnym... ..	49
32. W lesie (Zagubiona w leśnej ciszy...)	50
33. W wielkiej i pustej nawie... ..	51
34. Incanto	52
35. Ranek w Wenecji	53
36. W zakrystii na Murano	54
37. W starym apsydzie... ..	55
38. Faun pijany	56

39. Więc ku Fiesole...	58
40. Giotto	59
41. Bagnasco	60
42. Oto łódź moja...	61
43. Mewy	62
44. Sorrento	63
45. Nokturn	64
46. Z głązu na głąz...	65
47. Który ma złoty klucz...	66
48. Kto krzywdę płodzi...	67
49. Niechaj się ludy...	68
50. Lipy kwitną...	69
51. Fatum do Lykofrona	70
52. La Routa	72
53. I groby umrzeć mogą...	73
54. O Wrześni	74
55. Więc stoję tutaj...	75
56. W przestrzeniach nieskończonych...	76
57. Tu się droga załamała	77
58. Nie požądaj wyniosłości...	78
59. Nic tu skończonym nie jest...	79
60. Gdy płacząc...	80
61. Mniejszy niż mały...	81
62. Rota	82
63. Pocałunek Roberta Emmenta	83
64. Co Ojczyzna?	84
65. Trzeci rozbiór (1795)	85
66. Za rodziców	86
67. O światło	87
68. Imagina	88
69. Ziemi ty nasza!...	90
70. Wezwanie	92
71. Wiem, że w okienku...	93
72. Capri	94
73. Mare morto	95
74. Na jeziorze	96
75. Jest w piersi mojej...	97
76. Jeżeli kochasz...	98
77. Preludium	100
78. Listy	101
79. W Weronie	106
80. Non dolet	107
81. Wolny najmita	108
82. Warszawa	110
83. Trzeci maj	111
84. Credo	115

DLA DZIECI

• Stefek Burczymucha	118
• Co słonko widziało	119
• Sobótka	120
• Jaskółeczka	121
• Jak to ze lnem było	123
• Dobranoc	128
• Lalka Małgosi	129
• Co kurta robił w podwórku	131
• Franek	134
• O Janku Wędrowniczku	137
• Janek wybiera się w drogę	138
• Spotkanie z boćkiem	139
• za Kasynym płotem	140
• Dary i przemowa pani Marcinowej	141
• Owieczki	142
• Do młyna	143
• „Gdybym miał piórka”	144
• Spotkanie z Filusiem	145
• Na łodzi	146
• U dróżnika w chacie	147
• W lesie	148
• Powrót	149

Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach

Oddział Muzeum Okręgowego

ul. Tadeusza Kościuszki 31

16-400 Suwałki

tel. (0-87) 566-41-33

Muzeum mieści się w zabytkowym budynku przy głównej ulicy miasta, wzniesionym w latach 1826–1827, w którym 23 maja 1842 roku urodziła się i spędziła siedem lat dzieciństwa Maria Konopnicka z Wasiłowskich. Powstało z inicjatywy Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Suwalszczyzna” w 1973 roku jako filia Muzeum Ziemi Suwalskiej; od 1975 roku jest oddziałem suwalskiego Muzeum Okręgowego. W muzeum prezentowana jest stała wystawa biograficzno-literacka pn. „Maria Konopnicka 1842–1910. Za zamkniętymi drzwiami czasu”. W pierwszej jej części przedstawiono przede wszystkim biografię Marii Konopnickiej, w drugiej wybrane zagadnienia, istotne w dziele pisarki. Ideą spajającą ekspozycję jest pojęcie domu jako przestrzeni mitycznej, wyrażającego zarówno doświadczenia indywidualne (dom jako miejsce urodzenia, rodzina, ognisko domowe), jak i doświadczenia zbiorowe (dom jako ojczyzna), a także dom jako uniwersalny system wartości.

Muzeum czynne:

codziennie w godz. 8–16 (w soboty, niedziele i święta w godz. 9–17)

oprócz poniedziałków i dni poświęconych

Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu

38-460 Jedlicze, tel./fax +48 (0-13) 435 20 13

Na Muzeum składa się Dworek z XVIII w., przebudowany z końcem XIX w., oraz zabytkowy park o powierzchni ponad 3 ha. Stanowią one dar narodowy, przekazany Marii Konopnickiej w 1903 r. z okazji jubileuszu 25-lecia pracy pisarskiej. W 1991 r. oddano do użytku budynek Lamusa (dawniej spichlerza), w którym mieści się część ekspozycji.

Wystawy stałe: DWOREK MARIII KONOPNICKIEJ: wystawa pn.: *Kolekcja Darów Jubileuszowych* oraz ekspozycja wewnątrz historycznych z czasów poetki; BUDYNEK LAMUSA: ekspozycja biograficzno-literacka poświęcona twórczości Marii Konopnickiej pn.: *Poleciały pieśni moje*.

Wystawy czasowe o różnej tematyce urządza się w budynku Lamusa i udostępnia publiczności po zwiedzeniu ekspozycji literackiej.

Muzeum czynne:

od wtorku do niedzieli w godz. od 10:00 do 15:00, w poniedziałki nieczynne

Muzea Marii Konopnickiej



Suwałki



Żarnowiec

MARIA KONOPNICKA
WYBÓR POEZJI
w tym:
UTWORY DLA DZIECI

ISBN 83-914918-0-3